

**AM**

JERZY KIERSNOWKI

Archiwum Wschodnie 10

Rozmawiał: Wiesław Krasnodębski

Wrocław 1989 rok.

**© ARCHIWUM WSKODNIE**

Urodziłem się w Ciemianówce koło Nowogódk. Nowogródzczyzna jest od wieków ziemią, na której rośli i umierali moi przodkowie Kiersnowscy a również Hociscy, z których pochodziła moja matka. W związku z tym na Nowogródzczyźnie wszystkie dwory dookoła to byli albo przyjaciele albo krewni moich rodziców: matki czy ojca. Jednak koło samego Nowogódk mieszkałem krótko, bo ojciec nie mógł utrzymać powiększającej się rodziny - byłem już ja i moja siostra a Ciemianówka była małym majątkiem, zlokalizowanym na właściwie skraju Nowogódk. Ojciec pracował w Urzędzie Wojewódzkim w Nowogódku. Z wykształcenia był rolnikiem. Stryj mój ożenił się z Horwizanką, która odziedziczyła po swoich rodzicach duży majątek koło Bunjakon pod Woryczkiem. W 1928 roku ojciec jako brat właściciela przeniósł się do tych właśnie Podworyszek i właśnie tam administrował. Było to na granicy województwa nowogrodzkiego i wileńskiego. Granica przebiegała przez rzekę Sołczek, gdzie na przykład stał młyn należący do Podworyszek. Okolice były również związane z historią Mickiewicza jako, że niedaleko były Bolczenniki, które były własnością Putkamerów, a przecież Maryla Wereszczakówna swego czasu wyszła za mąż za Putkamera i w tych że Biennikonach znajdował się grób hrabiny Putkamerowej z domu Wereszczakówny, który sięgał do Biennakon, miłośników Mickiewicza. Był to szlak mickiewiczowski. Tak więc od Nowogódk do Winniakon, właściwie przez cały czas byłem na szlaku historii Mickiewicza. Zainteresowania Mickiewiczem, były to że tak powiem strony mickiewiczowskie. Jeżeli chodzi o nauki jakie tam pobierałem to byłem w dość dziwnej sytuacji. Ponieważ do szkoły powszechnej, jak to wtedy mówiono, to nigdy nie chodziłem. Uczyłem się w domu. Ambicją mojej matki było to, żeby mnie, że tak powiem, przygotować do gimnazjum. A więc sześć klas szkoły podstawowej, powszechnej przerabiałem w domu. Matka mnie uczyła wszystkich przedmiotów, a młodszą siostrę uczyła sprowadzona tam nauczycielka. Ja matce zawdzięczam wszystkie

podstawowe wiadomości jakie wyni<sup>o</sup>śłem. Co roku zdawałem egzaminy w szkole i przechodziłem do następnej klasy pozostając w domu. Wreszcie w roku 1936 zdałem egzamin do gimnazjum w Wilnie imienia Zygmunta Augusta. Było to gimnazjum państwowe, które miało dobrą opinię, renomę dobrego gimnazjum. No i stałem się uczniem tego gimnazjum. Tak więc przeniosłem się razem z matką do Wilna. Ojciec został na wsi i tylko w niedziele przyjeżdżał do nas, a my na wszystkie święta, wakacje jechaliśmy na wieś i tam spędzałem czas wolny. Do tego stopnia mnie to interesowało, że kiedy krewni zaprosili mnie do Warszawy na Wielkanoc wolałem jechać na wieś, żeby razem z ojcem chodzić po gospodarstwie i po polach, aby nie być w mieście, w Warszawie, do której zresztą mnie czasami udawało się jeździć, ale to tak przy okazji. Rodzina nasza miała, że tak powiem, tradycje walki o niepodległość. Mój pradziad Rafał Ki<sup>o</sup>rsnowski wraz ze swoim bratem byli wywiezieni na Sybir po powstaniu w 31 roku. Majątki zostały skonfiskowane. Legendą w rodzinie było to, że pradziad ~~wziął~~ wrócił na prośbę jego matki - która została sama - dwóch synów zostało wywiezionych. Pisała list do cara, który pozwolił na to, żeby jeden z synów wrócił. Właśnie matka miała wybrać który. Nie chciała wybierać i car przysłał starszego i ten Rafał Kiersnowski był moim pradziadkiem. Dziadek mój Ryszard, a właściwie Kondrat, Ryszard był za małym jeszcze aby brać udział w Powstaniu Styczniowym i z legendy rodzinnej wiem, że jako <sup>13</sup>czternastoletni okłopak był brany też przez grubo starszego już ojca, który także nie mógł należeć do partii, ale jeździli tam, przewożili żywność czy jakieś wiadomości. Tak, że mój dziadek zawsze się szczylił, że mój ojciec wybrał jego czternastoletniego a nie starszego kuzyna, bo dziadek lepiej jeździł konno. Wychowywałem się w legendzie powstania styczniowego, jako że groby powstańców styczniowych w lasach, w puszczy, a również weterani powstania styczniowego, którzy w Wilnie zawsze w pierwszym szeregu otwierali każdą defiladę, robili na mnie zawsze duże wrażenie. To była jeszcze legenda powsta-

nia styczniowego, która utrzymywała się jeszcze w dwudziestoleciu międzywojennym bardzo wyraźnie. Właśnie walki o tę ziemię, które również były przedłużane walkami w czasie pierwszej wojny światowej. Po pierwszej wojnie światowej, w roku 1920 mój stryj został odznaczony Krzyżem Virtuti Militari, właśnie za walkę, nawiasem mówiąc z Litwinami, w czasie zdobywania Wilna w 1919 roku ojciec mój był oficerem Wojska Polskiego, ale ten stopień oficerski wyniósł jeszcze z armii rosyjskiej, w której był w czasie wojny światowej. W 1916 roku powołany jako student. Dosłużył się tam, za czasów Kieryńskiego, stopnia porucznika czy oficerskiego, a potem w Wojsku Polskim był w artylerii. W tym czasie, o ile pamiętam, był kapitanem rezerwy, powoływany jeszcze na ćwiczenia. Wiadomości historyczne i te o rodzinie wyniosłem od matki, która właściwie zawsze nawiązywała do tych spraw: walki o wolność narodu, o prawdach historycznych związanych z tymi zmianami w Nowogródczyźnie. Tak więc później w szkole, gdzie nauka historii - moim zdaniem - stała na wysokim poziomie. Wiadomości były ugruntowane, rozszerzone. Miałem dobrych nauczycieli, którzy potrafili nas zainteresować historią i językiem polskim i literaturą.

- Pan mówił o jakimś etosie uwarunkowanym historią. Mówiąc o klasie ziemiańskiej z której pan pochodzi. Czy tego rodzaju postawy były typowe dla tych sfer? Tradycje historyczne?

- Wydaje mi się że tak. Jakkolwiek zaniem także wypadki, że niektórzy z dalekiej rodziny mieszkający w Nowogródczyźnie, poczuli się właściwie na tyle tutejszymi, że preferowali język białoruski, że właściwie uważali, że mają pochodzenie ruskie, ale również to demonstrowali w ten sposób, że zbierali powiedzenia białoruskie, przysłowia. Zresztą bardzo piękne, dowcipne. Bo ten naród był spokojny, miał wiele takich bystrych, dowcipnych spostrzeżeń. Naród ma mądrości ludowe. Zresztą język białoruski jest podobny do polskiego. Tak, że tam się właściwie nie mówiło tyle po białorusku. Tam nazywało się to, że mówi się po prostemu. I tak fakt, kto był jakiej narodowości schodził na drugi plan.

- Nie było zapotrzebowania na państwowość białoruską ?

- Chyba nie. Aozkoł~~dyk~~ wiem, że byli nacjonałiści białoruscy, gdzieś tam się grupowali, ale to do mnie nie docierało, absolutnie. To się traktowało jakoś tak zupełnie normalnie, że w jednych okolicach na wsi rozmawiano po białorusku, co mnie nawet raziło. W niektórych majątkach na Nowogródczyźnie, na przykład mój wuj rozmawiał ze służbą po białorusku czego u nas nie było, w okolicach Wieniakon. Właściwie były tam wsie polskie, gdzie się tylko po polsku rozmawiało pomiędzy sobą. Czasami niektórzy rozmawiali po białorusku i to nikogo nie raziło, bo to są właściwie ogromnie podobne do siebie języki.

- Czy tam było prawosławie czy katolicyzm ?

- W okolicach Wieniakon był właściwie katolicyzm i ~~była~~ nie było cerkwi w ogóle. Natomiast w Nowogródczyźnie było sporo wsi białoruskich i były wsie katolickie. Raczej dopiero potem ten podział się zrobił : ci którzy mówili po prostemu, a byli prawosławnymi to byli raczej Białorusini, a ci, którzy mówili po prostemu byli katolikami byli ~~Rka~~ Polakami. Taki był właściwie podział ale bardziej na Wschodzie i na Południu od tych miejscowości, gdzie mieszkałem, bliżej Nowogródka, gdzie właściwie zaścianki były polskie a wiele wsi było właśnie białoruskich. Ja to znałem raczej z wyjazdów, z czasów bardzo wczesnego dzieciństwa. Później się z tym właściwie nie stykałem, bo w okolicy w której się wychowałem właśnie w okolicach Bienakon były tam właśnie wsie polskie, katolickie. Słyszałem, że w stronę Iszyszek są jakieś wsie, które mówią po litewsku, ale ja jakoś nigdy nie słyszałem tego języka. Takie jakieś jedynie pojedyncze słowa. Później okazało się, że są one pochodzenia litewskiego. Nawet nazwy, które były w naszej okolicy, to później jak się uczyłem ~~p~~ przez półtora roku języka litewskiego, to zdałem sobie sprawę, że one są właśnie litewskie. Ale tego się kiedyś zupełnie nie rozumiało. Przynajmniej nie wiedziałem, że te wszystkie iszki, szyszki są pochodzenia litewskiego. A tak wsie jak na przykład niedaleko

nas leżące Warnakiele, co właściwie po litewsku tłumaczy się Droga Wron, albo takie miejsce na łąkach, które nazywało się "użubale". Skirsabale to jest "zabłocie", "przedbłocie". Z tego się zupełnie nie zdawało sprawy. Tak więc litewski był w niektórych regionach Iszyszek, trochę koło Dziewiniszek. Podobno jakieś wsie były litewskie ale ja się z tym specjalnie nie stykałem. Kiedyś powiedział mi jeden z fernali, z którym rozmawiałem: "A to są tam takie jakieś co tam mieszkają, tacy co mówią saki - pasaki." Ale właściwie to myśmy się z tym specjalnie nie stykali. Tak, że do 1939 roku właściwie litewskiego nie słyszałem. Nie wiedziałem jak brzmi ten język. I tym większe później było zderzenie jak Wilno zostało oddane Litwinom. Ale to już późniejsza historia. Nawiązując do tradycji rodzinnych, właściwie Nowogródzczyzna była taką właśnie okolicą, w której byli i krewni o tym samym nazwisku. Od ojca słyszałem, że mój dziadek miał dwudziestu trzech stryjów o tym samym nazwisku. Wobec tego było ich bardzo dużo, ale zawsze wszystkich intrygowało pochodzenie tego nazwiska, <sup>my</sup>brzienie tego nazwiska : Kiersnowski. Słyszałem, że właściwie rodzina pochodzi gdzieś z Polski i że dopiero <sup>pr</sup>siedliła się w Nowogródzkim, że to było dopiero w czasie Batorego. W farze nowogródzkiej jest taki dość duży <sup>nagrobek</sup> ~~na~~ Jana Kiersnowskiego z wierszem. Był on wojewodą czy podwojewodzim - bo było dwóch Janów Kiersnowskich. W każdym razie, w tym czasie <sup>pr</sup> kiedy dochodziłem do świadomości, wydawało mi się, że jest to rodzinne. Z tamtych stron pochodząca rodzina. Później słyszałem, jak już przyjechałem do Polski, okazuje się, że także w Białostockim, koło Brańska są zaścianki Kiersnowo, Kiersnówka. Mieszkają tam Kiersnowcy którzy, jak po wojnie się z nimi skontaktowałem, to właściwie o tych Kiersnowskich w Nowogródzczyźnie nie nie słyszeli i parę dziesiątków lat temu obchodzili swoje 400-lecie, swojej rodziny. Było to zorganizowane gdzieś tam w tym zaścianku. Ale właściwie uważali, że prawdopodobnie jest to źródło tej rodziny, gdzieś

właśnie te ziemie pojażwieskie. Więc te nazwiska są pochodzenia pojażwieskiego. Ja się dowiedziałem znacznie później. Wydawało mi się, że jesteśmy rdzennymi Polakami i mieszkamy na ziemiach rdzennie polskich. Mnie się tak wydawało. Nie mniej jednak to mniemanie z biegiem lat i z jakimś większym zrozumieniem zmieniało się. Zdawałem sobie sprawę jakie są to ziemie gdzie mieszkamy i dlaczego tam mieszkamy. W każdym razie takie było moje dzieciństwo. Następną epoką było pójście do gimnazjum i przeniesienie się do Wilna, gdzie rodzice wynajeli dość duże mieszkanie. A żeby się finansowo wzmocnić MATKA PROWADZIŁA stancję i różne dzieci, przeważnie z rodzin ziemiańskich, które nie przeniosły się do Wilna aby kształcić tam dzieci, to dawały matce pod opiekę. Chłopców, zresztą i dziewczęta do zamieszkania w mieście. Stąd też poznałem kilkanaścioro w różnym czasie, bo mieszkali ich po pięć, sześć osób w czasie jednego roku. Ale miałem z tej racji dużo znajomych, kolegów z różnych części Nowogródzyczyny i Wileńszczyzny. Kontakty z nimi i ich rodzinami utrzymują się do dzisiaj. Gimnazjum do którego poszedłem, Zygmunta Augusta, szokowało mnie tym, że była to pierwsza szkoła do której trafiłem. Miałem wtedy 11 lat. Do pierwszej klasy w ówczesnym systemie kiedy gimnazjum trwało 4 lata a potem były 2 lata liceum - w sumie sześć lat szkoły średniej. Bo to był nowy system. Poprzedni był ośmioletni. Więc trafiając do pierwszej klasy miałem już jedenaście lat. No i trafiłem nie tylko po raz pierwszy do szkoły ale i do miasta. Zacząłem mieszkać w mieście, co też mnie zaszkokowało. Właściwie byłem zagubiony w Wilnie. Mieszkając w polskiej dzielnicy przy ulicy Kretowej, przy której mieściły się niektóre zakłady uniwersyteckie, która prowadziła do pięknego parku Zakrętu, właściwie do lasu sosnowego, na zakręcie willi ale nazywanego Zakrętem i zacząłem poznawać architekturę Wilna, historię Wilna i stawać się po trochu Wilnianinem. Oczywiście wtedy mówiło się "Wilniak". A "Wilniaki" to było bardzo po polsku, ale bardziej tak z Kongresówki, z Królestwa, bo my byliśmy Litwini. Nawet jak przyjeżdza-

liśmy do rodziny do Warszawy to otwierali szeroko ramiona i mówili: Nasz Litwin przyjechał. Co mnie wtedy zupełnie nie raziło. Wiadomo było, że byliśmy z Litwy. Mając kolegów Wilna~~n~~<sup>ych</sup>, czy Wilnaków? W klasie mojej byli bardzo różni koledzy, jak się później zorientowałem, z różnych środowisk, ale myśmy zupełnie nie zdawali sobie sprawy kto jest czyim synem. Byli synowie oficerów, byli synowie doróżkarzy, byli synowie różnych ludzi. Były dzieci z rodzin ziemiańskich. To zupełnie nie było ważne. Ważne było kto jest sympatyczny, kto nie sympatyczny. Mnie imponowali ci chłopcy, którzy chodząc do szkoły już od wielu lat byli bardzo zaprawieni w życiu towarzyskim. Toteż często z nimi wracałem ze szkoły, graliśmy w piłkę nożną na Górze Butałowej. Były jakieś wojny na grudy ziemi. Kiedyś mnie jeden z kolegów przyłożył tak grudką ziemi w ciemię, że przynieśli mnie nieprzytomnego do domu. Była ogromna awantura. Miałem JAKIŚ wstrząs mózgu. Chyba jednak to nie zaważyło na moich dalszych losach, może mi nawet pomogło. Ale w każdym razie były te długie przychodzenia do domu poprzez zabawy z kolegami, gdzie zawsze byłem, jak się okazuje, fajtlapą. Oni byli bardziej obznajomieni z miastem, z zabawami, grami i tak dalej. A mnie się wadawało, że muszę im dorównać. Bo przecież ja zawsze uważałem, że ja jestem tym który ma przewodzić a nie tym który ma słuchać. A tu zupełnie ~~nie~~ mi nie wychodziło. To było zupełnie inaczej. Inni objęli nad tymi naszymi gnami, zabawami przewodnictwo. Była zupełnie inna skala wartości. Kolegów miałem barwnych, ciekawych. Na przykład w czasie wojny abisyńskiej, abisyńsko - włoskiej, która miała miejsce w latach trzydziestych, kiedy chodziłem do gimnazjum, klasa podzieliła się na części: jedni byli za Włochami, była ich mniejszość, tylko kilku ich było i nieśmiało o tym mówili. Cała reszta klasy była po stronie Abisynii. No i tych "Włochów" pamiętam kiedyś strasznie zbili w klasie. Oberwali za to, że śmieli powiedzieć, że są za Włochami. Właściwie cała klasa była po stronie Abisynii. Do tego stopnia, że trzech naszych

kolegów postanowiło jechać na odsiecz Abisynii. Uciekli z klasy i upatrzyli sobie, że będą jechali przez Litwę. Ponieważ granica pomiędzy Litwą a Polską była wtedy zabita deskami i w ogóle nie było żadnych przejść. Na Litwę jeździło się albo przez Łotwę albo przez Prusy Wschodnie. A tutaj nie było żadnych stosunków na początku lat trzydziestych, zresztą przez całe dwudziestolecie aż do roku 1938.

- A zielona granica nie istniała? tak zwane nielegalne przejście ?

- Istniała. Na początku funkcjonowała bardzo dobrze. Jak to Miłosz zresztą opisuje. On sam jako dziecko przechodził przez taką granicę. A później zrobiło się bardzo ~~szczelne~~ pilnowanie i z jednej i z drugiej strony. Tak, że raczej takie przejście było niemożliwe. I też moi koledzy niedaleko pojechali. Granica przebiegała kilkadziesiąt kilometrów od Wilna i tam na granicy zostali złapani i ciupasem odstawieni z powrotem do Wilna i ta pomoc Abisynii im się nie udała. I była straszna awantura w klasie. Nasza wychowawczyni pani Maria Czekatowska, która uczyła nas języka francuskiego, która była bardzo mądrą i dobrą kobietą miała straszne kłopoty z nimi bo groziło im wyrzucenie ze szkoły, za to że uciekli od rodziców i ze szkoły chcieli gdzieś nielegalnie przejść przez granicę. Pamiętam że to zrobiło na ~~mnie~~ mnie ogromne wrażenie. Najlepiej, że jeden z moich kolegów o nazwisku Fadanelli, który był jak się później okazało synem organisty i który miał naprawdę pochodzenie włoskie, gdzieś tam podobnie z czasów wojen napoleońskich pozostał w Wilnie jakiś Fadanelli, wracając z pod Moskwy. Ale on szedł na pomoc nie Włochom mimo włoskiego nazwiska tylko Abisyńczykom. Potem słyszałem o nim. Po wojnie się z nim nie spotkałem, ale słyszałem o tym, że się dał zwerbować do wojska niemieckiego. Tak jakoś kierował swoim losem że został skierowany do Afryki i skorzystał z pierwszej okazji żeby przejść na stronę Polską, gdzieś pod Tobrukiem, albo gdzieś indziej. Później skończył już kampanię w wojsku polskim. Tak że taka historia



też była . Zresztą moi koledzy ~~mają~~ mają różne losy, różne drogi życia. O wielu wiem, o wielu nie wiem. Tworzyli oni bardzo barwną grupę. Niektórzy uczyli się dobrze. Niektórzy źle. Ja na początku byłem dość nieśmiały, ale potem co raz lepiej mi szło. Co było u nas największą nAgrodą ? Jeżeli na koniec roku cenzurkę przejścia do następnej klasy otrzymywało się z rąk dyrektora. Wówczas dyrektorem był profesor Żelski, człowiek zrównoważony, spokojny. Ale pójdzie przed jego oblicze było zawsze dreszczem emocji. Bo wzywał przed swoje oblicze jak się coś przeskrabalo, albo właśnie pod koniec roku żeby dać cenzurkę tym najlepszym. W klasie to było 4 - 5 i to takich, którzy mieli mniej niż pięć trójek. A więc wcale nas tam stopniami nie rozpieszczano. Absolutnie. Bo to już było dobrze jeżeli na cenzurze było mniej niż pięć trójek.

→ Czy te kontakty zwłaszcza koleżeńskie miały jakiś wpływ na późniejszą działalność konspiracyjną ? Czy się potem przydały ?

- Na początku tak. Dlatego, że zaprzysiężenie do ZWZ nastąpiło jeszcze w gimnazjum. Później te kontakty towarzyskie rozpięchły się ponieważ okupację spędziłem już poza Wilnem. Natomiast już po wojnie niektóre kontakty się nawiązało. Ale moi koledzy byli przeważnie w brygadach wileńskich. Ja natomiast trafiłem do batalionów Ziemi Nowogródzkiej. Do batalionu 77 pułku AK. Kontakty te były raczej towarzyskie i oczywiście śledziłem losy kolegów, z niektórymi później spotkałem się. To jest nieistotne. Istotne jest to, że nastrój w klasie był bardzo miły, koleżeński, przyjacielski. Na zakończenie małej matury w 1939 roku, mam fotografie z kolegami, z nauczycielami, na boisku. Byliśmy bardzo zżyci i w ogóle wydawało nam się, że zawsze nasza mała matura w 1939 roku kończy jakiś specjalny okres. Koledzy którzy zostali na drugi rok byli straszliwie zawiązani. Dzięki temu pamiętam najbardziej jak jeden z moich kolegów z klasy, który miał ogromne zdolności do rysunku i matematyki, a do innych przedmiotów to nie bardzo, Oskar Hansen został na drugi

rok, a myśmy zdali maturę. I on mówi: Chłopcy, ja to taki jestem, ja to już do niczego się nie nadaję, do niczego w życiu nie dojdę a jak wy będziecie już na jakiś stanowiskach to pamiętajcie o mnie. Jak miło mi było dowiedzieć się, że po wojnie, Oskar Hansen jest znanym profesorem architektury uznanym nie tylko w Polsce ale i na świecie. Chyba sam sobie najwięcej pomógł. W czasie nauki w gimnazjum działały dwie grupy harcerskie. Jedną była "Niebieska 7", drużyna harcerska z gimnazjum Zygmunta Augusta. Była również "Błękitna 1" - żeglarska. Była ona najstarszą dumą wileńską. No i ja do niej wstąpiłem. Byłem w tej "Błękitnej 1" która znowu dawała kontakt z kolegami nie tylko z klasy ale także z młodszymi i starszymi zgrupowaniami w tej drużynie, która była drużyną dobrze prowadzoną przez bardzo poważnych ludzi, którzy dla mnie byli strasznie poważni, ale jak sobie później zdałem sprawę, byli to koledzy z klasy maturalnej albo studenci. Ale wtedy wydawało mi się, że byli wielkimi autorytetami, albo ludźmi doświadczonymi i starszymi. Byłem na obozie harcerskim nad jeziorem Narocz. Ten obóz harcerski był czymś takim, co nas z takiego cywilizowanego życia, takiego niby cywilizowanego wyprowadził nas. Kazano tam nam robić wszystko we własnym zakresie. Wszystko robiliśmy sami sobie. Prysze sami zbudowaliśmy sobie i latryny i sami sobie gotowaliśmy.. Dla gotowania były dyżury. Tak, że po prostu to daleko odbiega od obozów, które są, na których byłem z rACJI młóich córek, gdzie są kucharki, gdzie są zupełnie inne stosunki niż to kiedyś bywało. Jest bardzo dużo pieśczošków, a po za tym kadra skrycie popija gdzieś tam w namiotach, co mi się zdarzyło widzieć. Tego zupełnie nie było. Przymierzenie harcerskie było naprawdę stosowane w praktyce. Nie było absolutnie dwulicowości. I to wszyscy na serio stosowali. Tak że przymierzenie harcerskie, do dziś je pamiętam, brzmiało: Mam szczerą wolę całym życiem pełnić służbę Bogu i Polsce i być posłusznym prawu harcerskiemu. Tak brzmiało prawo harcerskie przed wojną i temu staraliśmy się być wierni przez cały czas. Również te obozy, jakkolwiek

żeglarskie, uczyły nas pływania i początków sztuki żeglowania ale także orientowania się w terenie, chodzenia z kompasem. Dosłużyłem się <sup>o</sup>zstępcy zastępowego i kiedyś ci <sup>a</sup>zstępcy prowadzili zastępy pod baczynym okiem kolegów, którzy byli rówieśnikami, czasami młodszymi w zależności od funkcji której się dorobili. Ja tam byłem początkujący, ale jak sobie przypominam, właśnie takie wycieczki z kompasem, ze sztabówką w rękę, takie wielodniowe. Właśnie kiedy kierowałem taką grupą 6-7 ludzi na ~~wieczny~~ wstępie, co mi się potem ogromnie przydało: umi<sup>e</sup>jętność posługiwania się mapą, kompasem, Radzenie sobie w terenie. Po prostu to wszystko potem dosłownie znalazło zastosowanie. Zostało żywcem przeniesione do partyzantki. Żywcem,,zupełnie. Tak że harcerstwo i tych moich kolegów, przełożonych wspominam bardzo miło, jakkolwiek nie nawiązuję z nimi kontaktów, chociaż wiem, że co roku spotykają się w Warszawie. Zawsze mam zaproszenie. Podobno zapewniają, że byłbym pośród nich najmłodszym. Ale ja<sup>k</sup>ś moi koledzy jeżdżą, ja nigdy nie pojechałem. Chyba trzeba będzie kiedyś się wyrwać ze swoich obowiązków. Z drugiej strony właśnie takie wchodzenie we wspomnienia, wydaje mi się, że jednak trochę rozstraja, i sobie za często nie można na to pozwolić. Te wspominki odnoszą się zawsze do minionej epoki. Do minionych czasów, do zupełnie innych, a potem trzeba wracać do życia. Ma się swój zawód, czy swoją pracę. Wspominkami tylko żyć nie można. Jakkolwiek trzeba czasami i powspominać. Część kolegów z gimnazjum Zygmunta Augusta należała do drużyny harcerskiej "Czarnej 13-tki" której komendantem był starszy druch Grzesiak. Jego syn był moim kolegą z równoległej klasy. No i "Czarna 13-ka" była w Wilnie taką ekskluzywną drużyną harcerską. Nie chodzi o to, że właściwie grupowała chłopców z biednych rodzin, ale była ekskluzywna jeśli chodzi o fason harcerski, o wykształcenie harcerskie. Zdobywała zawsze pierwsze miejsce. To byli ogromnie zwarci, koleżeńsko zrośnięci młodzi ludzie co potem dało wyraz w "Szarych Szeregach".



był to taki pociąg z dwoma wagonami, motorowy, który chodził pomiędzy Wilnem a Lidą. Wieczorem, oczywiście w zaciemnionym pociągu, nie paliło się światło pojechaliśmy do Wilna. Cała rodzina i w zaciemnionym mieście szliśmy do swoich mieszkań. W mieście już nie podobnym do tego, który się widziało przed wojną. Zbombardowanym, zaciemnionym. Noale trafiliśmy do swojego mieszkania i następnego dnia w nocy było już wkroczenie Czerwonej Armii do Wilna, co nie odbyło się bez strzałów, nie odbyło się bez rozwalenia czołgu, który prawie na moich oczach wpadł na małą kamieniczkę. Podobno mu tam pomogli. Ale to już inna sprawa. Następnego dnia zobaczyliśmy obce wojska. Zupełnie nieznanne dla mnie mundury, obszarpane szynele, karabiny powiązane białymi tasiemkami, uprzęż koni powiązana sznurkami. Obraz nędzy i rozpaczony w stosunku do wyglądu Wojska Polskiego, które było zadbane, piękne. To było i obce i straszne. Właściwie, powoli poszliśmy do szkoły. Moi koledzy, w tym okresie wojny, od początku września do końca września, jako że byliśmy członkami PW / przysposobienia wojskowego/ chodziliśmy z karabinami pilnując magazynów. Mieliśmy za zadanie obronę tych magazynów przed wkraczającymi wojskami. Ja tego wszystkiego unikałem. Byłem na wsi. Wróciłem i zaczęliśmy chodzić do szkoły, która na początku właściwie wyglądała tak jak szkoła przed wojną. Byli ci sami nauczyciele, ten sam dyrektor. A w miarę tego zaczęły się już stwarzać nowe porządki. Część nauczycieli musiała odejść, duża część została. Zostało gimnazjum, oczywiście straciło nazwę. Chodziłem do końca, do tego samego gmachu gimnazjum imienia Króla Zygmunta Augusta przy ulicy Bułfalowej. Nazwa tej szkoły się zmieniła. Okazało się, że jesteśmy w klasie IX, a właściwie mamy X-cio latkę. Po prostu wszystko się zmieniło. Nie mniej jednak nasi nauczyciele, którzy pozostali, prze-rabiali z nami program przedwojenny, według przedwojennych podręczników. Doszedł tylko jeszcze język rosyjski, którego oczywiście nigdy nie uczyłem się i nie znałem. Ale nie stanowił on dla mnie specjalnej trudności, jako że byłem osłuchany w tych językach

słowiańskich, można powiedzieć. Był taki nauczyciel, który uczył nas wierszy Kryłowa, ale te wiersze jakoś łatwo przychodziły. Nie stanowiły specjalnej trudności, ale trwało to stosunkowo niedługo, bo parę tygodni później, właściwie w październiku, Wilno zostało odstąpione przez władze radzieckie kapitalistycznej Litwie. Wobec tego do Wilna wmaszerowały oddziały wojska litewskiego, znowu umundurowane inaczej. Ale to wojsko było bardzo porządne. Umundurowane w mundury koloru khaki, jak wojsko polskie, tylko krój był inny zupełnie. Zdyscyplinowana armia. Zupełnie inne wrażenia, ale też wrogie. Szczególne wrażenie na nas zrobili policjanci litewscy umundurowani w granatowe mundury z czerwonymi wyłogami, z wysokimi czapkami ze złotą kitą na czapce. Po prostu operetkowe mundury. Chłopy potężni w białych rękawiczkach i groźni. Właściwie nastawieni antypolsko, co od razu można było wyczuć na ulicy z ich zachowania. Teraz nie można było chodzić w żadnych mundurach, nawet tych gimnazjalnych, bardzo skromnych, granatowych z niebieskimi wypustkami do IV klasy i bordowymi do liceum. Byłem ogromnie dumny z tarczą licealną na rękę. Wypustki miałem takie bordowe czy amarantowe. Ogromnie się cieszyłem z tego mundurka swojego, a tu raptem za to dostawało się pałami na ulicy i trzeba było guziki obszyć materiałem, atramentem zamalowywać te wypustki bo trzeba było z tego zrobić ubranie cywilne. Mało tego, do klasy przszedł nauczyciel, zmieniła się dyrekcja, zaczął do nas mówić po litewsku. Okazało się, że w klasie nikt ani słowa nie rozumie z tego języka. A jemu się zdawało, że my udajemy, że nie rozumiemy po litewsku. Więc ta przepychanka trwała przez pierwszych parę lekcji zanim nauczyciel który miał nazwisko Machucis, który jak się okazało zupełnie dobrze mówi po polsku, ale na początku nie chciał tego zdradzić, uznał że my naprawdę nie umiemy po litewsku, że my naprawdę nie słyszelśmy tego języka, że nikt nie potrafi nic po litewsku powiedzieć. Niktórzy byli co trochę słyszeli, bo w Wilnie te 2 procent Lit-

winów było więc coś tam gdzieś, kiedyś słyszeli. Ale na przykład ja zupełnie nie wiedziałem o co chodzi. Szczególnie było to denerwujące, że przy wyczytywaniu listy nauczyciel wszystkie nazwiska przekręcał dodając nie tylko "is" ale i zmieniając brzmienie nazwiska. Moje nazwisko miało brzmieć Kiersznowskas. Oczywiście na takie brzmienie nazwiska nie wstawialiśmy z ławek, a to wywoływało straszliwe represje, wrzaski, krzyki a potem łagodne tłumaczenie, że to jest w języku litewskim przyjęte, że to jest natura języka litewskiego, że musi być na końcu końcówka "is" albo "as", względnie może zostać końcówka "a". Szczęśliwi byli koledzy, którzy mieli nazwiska kończące się na "a", na przykład Żaba. Bo to trafiało do deklinacji litewskiej i tu już przekręcanie było w następnych przypadkach. Natomiast w pierwszym przypadku mogło być bez przekręcania. Jeszcze gorzej, że nie tylko wymowa nazwiska, ale niektórzy Litwini jeszcze chcieli zabrać nazwiska. Na przykład jak który nazywał się Wróbel to po litewsku miało brzmieć Żwilblis. Ale po długich dyskusjach z nauczycielem, z dyrekcją chcieliśmy żeby do naszych nazwisk, jeżeli już końcówka "is" musi być pisana z apostrofem, tak jak się to robi w języku polskim. Najpierw jest apostrof a potem "as" dodawane lub te przypadki. Ale tego nie wywojowaliśmy. W rezultacie dostaliśmy trójki ze sprawowania. Rozwiązano nas ponieważ upieraliśmy się przeciwko temu, chcieliśmy swoich nauczycieli, swojego dyrektora, nie chcieliśmy tych nazwisk. No więc cały ten strajk skończył się tym, że rozwiązano nam klasę. Były następne zapisy i już bardziej pokorni musieliśmy się zgodzić na to, że te nazwiska brzmią już z tymi przekręceniami, ale przynajmniej nie w Wrdzeniu nazwiska tylko w końcówce. Była to długotrwała walka w której musieliśmy ulec ale wywojowaliśmy tylko tę końcówkę. W ten sposób rozpoczęła się nauka i języka litewskiego, który zaczynaliśmy od ABC, bo ci nasi nauczyciele przekonali się, że my tego języka nie znamy. I zaczęto nas pośpiesznie uczyć. Miałem okazję uczyć się przez ~~pięć~~ półtora

roku . No i troszkę tam liznałem. Oczywiście przeważnie była dwójka z dyktanda. Jest to język trudny<sup>i</sup> w wymowie i w ortografii - ale wiele się nauczyłem. Nauczyłem się hymnu litewskiego na pamięć, tego kapitalistycznego. Później jak się zmieniła władza to nawet "Międzynarodówkę" po litewsku na pamięć. Zresztą "Międzynarodówkę" znałem już i po rosyjsku bo tego nas nauczono. Po polsku tego przedtem nie ślęczałem. W każdym razie zaczęliśmy również myśleć. Było to dla nas szokiem. Wychowani w innych czasach i innych warunkach zaczęliśmy myśleć. Myślenie to było bardzo bolesne, dlatego że zdaliśmy sobie sprawę z tego na jakich ziemiach<sup>a/</sup> mieszakamy, właściwie kto tu ma do nich prawo, jakieś roszczenia, jakie są stosunki pomiędzy Polakami a Rosjanami właściwie reprezentowanymi przez Bolszewików. Jak się zachowują inne narodowości i przy tych różnych ustrojach jak to wygląda w stosunku do Żydów, którzy tak owacyjnie witali wchodzącą Armię Czerwoną. Jak to jest w stosunku do Litwinów. Do Wilna zaczęła napływać duża fala Litwinów z Litwy<sup>K</sup>owieńskiej. Ale zobaczyliśmy, że niektóre rodziny, do niektórych rodzin polskich przyjechali krewni, znajomi z Litwy K<sub>o</sub>wieńskiej, zresztą mogli się już od 1938 roku komunikować bezpośrednio. Opowiadałem o wypadkach z 1938 roku, kiedy były uproszczone warunki polsko - litewskie właściwie przez rząd polski. Kiedy w Wilnie były ogromne zebrania młodzieżowe, wiece, spotkania z Rędzem - Śmigłym i krzyknęliśmy - może głupawo - ale wodzu prowadź na Kowno. Czapkami ich nakryjemy. To było wynikiem naszego wychowania, naszej świadomości, naszego w owych czasach, nastawienia. Nastął czas, po tej krótkiej jak gdyby okupacji<sup>s</sup> sowieckiej, czas okupacji litewskiej. Bardzo dziwnej. Trudno to opisać bo to było właściwie<sup>w</sup> pod tą okupacją litewską mimo nacjonalizmu tych okupantów, to jednak swobody polskie były większe niż kiedykolwiek. Wywalczone przez Polaków w Litwie Kowieńskiej i mogliśmy jeszcze tego roku 1939 obchodzić uroczystości 11 listopada, co nie było możliwe nigdzie w Polsce. W owym czasie nie



mogły być obchodzone w Polsce a my normalnie obchodziliśmy święto 11 listopada. Litwini na to jakoś nie zareagowali, czy jakoś to tolerowali. Niestety trwało to dosyć krótko, bo gdzieś na wiosnę, już nie pamiętam, w czerwcu czy w lipcu podobnie Litwini uchwalili przyłączenie do Związku Radzieckiego i nastąpiła zmiana władzy. Przyszła władza nazwijmy ją "litewsko - radziecka", ale już zmieniły się mundury, już nie było wojska litewskiego, nie było już milicji litewskiej, jakkolwiek w szkole pozostał język litewski. Zmienili się niektórzy nauczyciele, spośród których niektórzy okazali się szowinistami litewskimi czy też szaulistami, którzy musieli gdzieś tam uciekać. To tam właśnie odbyła się nie**W**ielka strzelanina. ~~K~~toś tam strzelał gdzieś, do kogoś. Ale gdzie? Co? Co to było już właściwie po za nami. Trwało to jedną noc, jeden dzień i okazało się, że znaleźliśmy się w Litewskiej Republice Radzieckiej. Trzeba powiedzieć prawdę, że te stosunki w szkole zelżały na jakiś czas. Już nie odczuwaliśmy tego nacjonalizmu litewskiego, tego szowinizmu. Właściwie zaczęto nam znowu inaczej tłumaczyć to wszystko. W międzyczasie przeszliśmy do X klasy, ostatniej przed maturą. No i tak właśnie uczeń**I**przez niektórych nauczycieli, zwłaszcza tych od przedmiotów ścisłych, przedwojennych, ci inni przyszli nowi. Tak dobr**X**iliśmy do matury, którą zdaliśmy bardzo, że tak powiem, w dobrym nastroju. Przys**X**ąpiliśmy do niej, tym bardziej że w ostatnim roku wprowadzono koedukację. Przyszły koleżanki. Raptem w klasie przedmaturalnej mieliśmy kilkanaście koleżanek - w naszej klasie. To zupełnie zmieniło nastroje, stosunki, jakoś tam zupełnie coś innego się zrobiło. Można powiedzieć, że było to dla nas przyjemne. Koleżanki te, niektóre okazały się całkiem**I**madre, całkiem**I**dobrze się uczyły. Były dla nas konkurencją. I tak właśnie doszliśmy do matury, którą zdawaliśmy jak się okazało w przeddzień wojny radziecko - niemieckiej. Zaznaczyło się to jeszcze tym, że

w czasie matury - pamiętam to do dziś - że zdawałem tę maturę z biologii u profesora Dębowskiego, późniejszego prezesa PAN - u w Polsce, profesora uniwersytetu Stefana Batorego, znanego darwinistę i właściwie komunizującego, który miał u nas w ostatniej klasie zajęcia z przyrody - <sup>o</sup>biologii. Miał wykłady właściwie na poziomie uniwersyteckim. W ogóle nie pytał nas tylko wykladał - wykladał właściwie ewolucjonizm. I wtedy po raz pierwszy usłyszałem o Darwinie, o tym jak to studenci żartobliwie wypisywali w ogódku uniwersyteckim na ławkach, że między małpą a człowiekiem Darwin nie widzi różnicy, bacz o tobie tego nie mówili oglądniocy. Takie były napisy na ławkach uniwersyteckich przed wojną. Ale właśnie pod wpływem profesora Dębowskiego, którego wykłady były ogromnie ciekawe, ale w czasie matury u niego przyszło raptem do klasy NKWD i z klasy wyprosiło naszych kolegów, którzy byli uciekinierami z Polski, z Warszawy, a w tym czasie znaleźli się w Wilnie i byli naszymi kolegami, uczyli się. Wobec tego im wszystkim pokazali wyjść z klasy. Nawet jak przypominam sobie profesor Dębowski pytał Krzysia Łukaszcwicza, postawił mu bardzo dobrze no i niestety ich trzech wyszło z klasy. Myśmy się rzucili do okien przed gmachem gimnazjalnym. Było to gimnazjum Orzeszkowej, bo nie wiem dlaczego zdawaliśmy maturę w dawnym gmachu gimnazjum Orzeszkowej przy placu Łukiskim w Wilnie. Stały tam już ciężarówki. Siedziały w nich ich rodziny i oni poszli na te ciężarówki. Dalej był ten egzamin maturalny, ale proszę sobie wyobrazić jaki nastrój panował. Oni zostali wywiezieni i o ile znam ich losy są tacy, którzy wrócili do Polski, ale są tacy, którzy nie są w tej chwili w Polsce, poprzez Anglię znaleźli się w Stanach Zjednoczonych. W każdym razie przeszli całą drogę wywiezienia. Zdażyli ich jeszcze wywieźć.

- To jest ta czerwcowy wywózka. Niektóre transporty nie zdażyły dojechać w głąb Rosji.

- Tak jest. Mego stryja, który w owym czasie był aresztowany i siedział na Łukiszkach zdążyli jednak wywieźć, chociaż niektóre wagony z tego transportu kolejjarze odczepili i zostały. Ci moi koledzy wyjechali. No ale matura biegła dalej i to pamiętam. Zdaliśmy maturę i w niedzielę 22 czerwca pojechaliśmy za miasto do Warek żeby spędzić tam czas razem z całą klasą, uczcić w ten sposób maturę. A więc przez cały dzień kupałaliśmy się, plażowaliśmy. Potem wieczorem chcieliśmy wracać ale dziwiliśmy się że tak bardzo dużo samolotów lata, ale myśleliśmy że są to jakieś ćwiczenia lotnicze. Wracając wieczorem do Wilna bo to było dosyć daleko ~~na~~ ponad 20 kilometrów za Wilnem, komunikacja nie działała. Wieczorem przyszliśmy do Wilna i ze zdziwieniem patrzyliśmy na zbombardowane kamienice że to był nalot. Dowiedzieliśmy się, że wybuchła wojna niemiecko - rosyjska. Właśnie w 1941 roku. I właściwie nastąpił nowy okres. Właściwie nie mieliśmy świadectw maturalnych wydanych ponieważ było to świeżo po maturze. Następnego dnia byli już Niemcy w Wilnie. Też to nie odbyło się bez strzelaniny, ale krótkiej. Właściwie to wojska radzieckie wycofały się właściwie nie broniąc Wilna. A więc tylko po tej strzelaninie ktoś, gdzieś, do kogoś. Następnie można było widzieć na ulicach Wilna armię niemiecką, groźną, obcą, znowu inną, zdyscyplinowaną, pięknie umundurowaną, zmotoryzowaną, którą znowu niektórzy mieszkańcy Wilna szczególnie zwłaszcza Żydzi witali wkraczających Niemców.

- A jak oni witali Armię Radziecką ?

- Też. Może to byli inni ale też witali.

- To rozumiem. Ale dlaczego Niemców. Przecież oni wiedzieli.

- Były tam wywózki. To dotyczyło prawdopodobnie również części Żydów, bo ich też wywozili. Może inni ale łączyli prawdopodobnie z Niemcami też jakieś nadzieje. W każdym razie było to dosyć dziwne, zastanawiające, że tak właśnie jest.

- Przecież oni wiedzieli co się stało w Niemczech.

- Ale nie wszyscy wiedzieli i nie bardzo wiedzieli. Bo myśmy w tamtym czasie naprawdę nie wiedzieli. To znaczy ja mówię o młodzieży, o naszym pokoleniu. Myśmy sobie z tego sprawy nie zdawali.

- Starszyna żydowska na pewno wiedziała.

- Nie wiem. Nie byłem w tym środowisku, nie potrafię powiedzieć. Fakt, że byli tacy, którzy witali. Niemcy podobno ich ignorowali, odpychali. Tak było. Ale oni chcieli być też dobrzy. Niestety tak było. Myśmy nie zdawali sobie sprawy z grozy tej okupacji, która przychodzi.

- Jeszcze wracam do tamtego. Czy pan osobiście widział te powiaty żydowskie Niemców ?

- Z opowiadań, bo ja tego osobiście nie widziałem. To się działo w dzielnicach żydowskich. Ja natomiast mieszkałem na Zakretowej. Niemcy ani nie przechodzili ani ich nie widziałem.

- Ale czy osoby, które to opowiadały były wiarygodne ?

- Ja osobiście tego nie widziałem. Ja tego nie mogę powiedzieć. Ale byli tacy podobno odtrącani przez Niemców, tak było. Nie wiem może ktoś to widział. U nas funkcjonowało to jako opowieść o tym. Myśmy nie bardzo zdawali sobie sprawę z tego, kto to przychodzi, jak armia. Wiedzieliśmy, że wojsko polskie zostało pobite, że jest jednak piękne, zmotoryzowane, dobrze uzbrojone. Nie wiedzieliśmy jakie konsekwencje z tego wynikną. Mówiono w ten sposób: Zapamiętałem zdanie: Może przychodzą kulturalni ludzie, że owszem wróg, okupanci ale że będą to ludzie kulturalni. Właściwie Niemców w tamtych czasach znano z I wojny światowej. Przecież front tam długo stał, na tamtych ziemiach Nowogródzyczyny, Wileńszczyzny. Tam byli Niemcy aż po Berezynę, za Mińskiem. Inna rzecz, że były opowieści o spalonych dworach za czasów niemieckich, że Niemcy spalili, ale w każdym razie nie było z tamtych czasów legendy grozy. Groza wojny jakaś taka a nie groza specjalne Niemców. Trochę tego było, jak sobie przypominam. W każdym razie otworzyła się możliwość powrotu na

wieś. Ojciec wrócił i zaczął gospodarować. Okazało się, że nie ma mowy o żadnej własności. Stryjenka przestała być właścielką. Niemcy zorganizowały siatkę państwowych majątków. Wszystko to nazywało się "Ostland". Z tym również, że ustanowili w rejonach dawnej Litwy administrację litewską i policję litewską. A na terenach Nowogródzki-ny to były białoruskie. Policja była białoruska, administracja białoruska, która była zresztą w dużej mierze opanowana przez naszych, to znaczy tutejszych, Polaków. Potem to całe posterunki przechodziły do partyzantki z bronią w ręku, z komendantami, z tym wszystkim - jedynie nieliczni wysługiwali się Niemcom. Natomiast jeżeli chodzi o Litwinów to sprawa była inna. Potem powstała ta słynna armia Plechavicziusa, która kolaborowała z Niemcami, która robiła brudną robotę to znaczy: rozstrzeliwała Żydów, zbierała kontygenty no i właściwie walczyła z polską partyzantką. Co tu dużo mówić. A natomiast na Białorusi to właściwie żadnej formacji wojskowej nie stworzono. Była tylko ta policja. Ponieważ mieszkaliśmy na granicy jak się okazało tego regionu litewskiego i białoruskiego, sprawa była dosyć skomplikowana. Co prawda granicę tę przesunięto tak, że ona już z tej Sojczy przeszła między Bienakowice a Werenów i znaleźliśmy się na terenie litewskim. O parę kilometrów, nie na niej jednak przebiegała ta granica, która nie była pilnowana. To była granicą administracyjną. Ale jednak Niemcy wydawali takie "auswaisy", które jednak obowiązywały na jednej stronie, a drugie na drugiej stronie. Wobec tego okazało się, że miałem także i takie różne zresztą lata urodzenia. Ponieważ tam Niemcy brali na roboty, do wojska. Raz trzeba było być młodszym raz starszym. Tak, że w ten sposób wracając na wieś właściwie zerwałem kontakty z kolegami swoimi, ze Związkiem Walki Zbrojnej, gdzie to już się zaczęło organizować, a właściwie zostałem mieszkańcem wsi z bardzo małymi kontaktami z miastem. Najlepsza rzecz, że w czasie okupacji byłem tylko raz w Wilnie. Pojechałem do swojego wuja, znanego fotografa Ja-

na Bułhaka, żeby zrobić zdjęcia, które były potrzebne do wystawienia różnych dokumentów, na stonę białoruską, litewską, na różny wiek. Raz byłem starszy, raz byłem młodszy w zależności od tego, jak trzeba było wystawiać te dokumenty, żeby uniknąć czy to przymusowej pracy, czy jakiegoś werbunku, czy czegoś tam. Tak że fotografie te były potrzebne. . Z tego czasu nawet mam jedną fotografię. W owym czasie na wsi zajęto się sprawą - wszyscy byliśmy ~~byliśmy~~ zatrudnieni w gospodarstwie - ojciec był administratorem w tym majątku. Majątek należał do "Ostlandu", administracja była polska na niższych szczeblach. Na wyższych była polsko - litewska, właściwie litewska ale tam byli Polacy z Litwy znający język litewski. Na przykład Władysław Komar, który później zginął, jak kuzyn mojej matki Zygmunt Żyliński - Polacy z Litwy, którzy znając litewski byli tam w "Ostlandzie" w organizacji tych gospodarstw rolnych na wyższych szczeblach. A na najwyższych byli Niemcy, którzy tą całą gospodarką rolną, tymi dużymi majątkami zawiadywali. Również byli przydatni, jako specje od rolnictwa Holendrzy, do tych poszczególnych majątków którzy zachowywali się bardzo różnie. Mieliśmy takiego Holendra bardzo poważnego, wykształconego rolnika, który okazał się człowiekiem na poziomie, szanowanym. A był też taki młody Holender, wariackoaty, który właściwie zajmował się głównie zaczepianiem dziewczyn i strzelaniem do kaczek, który nie zostawił po sobie dobrej pamięci w "Ostlandzie". W każdym razie Niemcy zorganizowali te duże majątki w taką całość. Natomiast gospodarstwa drobne, wiejskie na razie pozostawiono. . Był pewien czas takiego spokoju, organizacji i pierwsze miesiące tej okupacji niemieckiej wyglądały w każdym razie na to, że jakoś tam będzie. Ludzie odetchnęli od tej okupacji sowieckiej, po tych wywozach, które nas dotyczyły w mniejszym stopniu pod okupacją litewską. Natomiast na ziemiach Nowogródziny, tam nastąpiły dwie wywózki. Pierwsza w 1939 roku a druga tuż przed wojną. W związku z tym ludzie tam byli bardzo wystraszeni. Trzeba

przyznać, że w okolicy w której byłem właściwie ludność, jeżeli kiedykolwiek ktokolwiek sprzyjał tej okupacji sowieckiej i w ogóle tym komunistom, to właściwie okazało się, że po tych paru latach zupełnie się to zmieniło. Stało się to jednoznacznie polskie.

- Czy pan się nie pomylił mówiąc o wywóźce w 1939 roku? Zasadniczo pierwsza tak zorganizowana wywózka zaczęła się od 10 lutego, a przed tem były to aresztowania indywidualne.

- Ma pan rację. Były dwie wywózki. Jedna była na początku 1940 roku, ale trzeba powiedzieć, że już w 1939 roku były aresztowania a nawet co jest już w naszej historii rodzinnej, mego ojca chrześnego Aleksandra Bekiera, ożenionego z moją ciotką Wandą Kiersnowską w majątku Kiersnowskich, Horodzinówce w 1935 roku zastrzelono i to z tej racji, że żołnierz czy oficer, który wtargnął do domu zobaczył złotą obączkę na palcu właśnie wuja. Ściągnął ją za co wuj się ogromnie obraził. Mówił zresztą dosłownie po rosyjsku i powiedział że to jest "warstwo" - kradzież. I w efekcie tego na gazonie przed domem został zastrzelony. Tak że takich ekscesów było więcej i również aresztowań w 1939 roku. Natomiast zorganizowaną wywózkę - ma pan rację - zaczęto 10 lutego. Wracając do spraw związanych z okupacją niemiecką. Ludność była do władz radzieckich zrażona i słysze- liśmy wiele opowiadań, śpiewek polskich, białoruskich, a nawet rosyjskich które powstały, nawet wyśmiewające te władze jak na przykład "W kołchoz doroga poszła a z kołchoza kosiakom. W kołchoz poszoł obutyj, a s kołchoza bosiakom." Nastawienie tych ludzi było zdecydowanie negatywne do byłego okupanta. Natomiast wyczekujące w stosunku do Niemców. I tak minęło około roku - takiego organizowania tych "ostlandów", tych gospodarstw. Później okazało się, że Niemcy przystępują do regularnego ściągania tych kontrybucji - kontygentów. Obsadzają miateczka, budują bunkry, umacniają się na tym terenie, i to po to aby tę ludność, nie tylko majątki, które uznali za państwowe, wszystkie zresztą obsadzając byłymi właścicielami jako ad-

ministratorami, ale również tę ludność wiejską, właściwie na tyle sterroryzowaną aby to ściąganie kontygentów i świadczenie różnych robót i wwożenie do prac do Niemiec było zorganizowane. I wtedy zaczęło się organizowanie właściwie tej siatki konspiracyjnej, polskiej, w której ogromną rolę spełniali byli oficerowie polscy, którzy ukryli się, ocaleli jakoś z tego wszystkiego, którzy pozaszywali się w różnych gospodarstwach, pełniąc tam różne funkcje. Tam u nas funkcję stróża nocnego, jakiegoś tam oficjalisty lub jakiegoś tam kogoś i w Podworyszkach i w sąsiednim majątku ukrytym w lasach w Gojcieniszkach, który należał również do rodziny mojej stryjenki, majątkiem z zabytkowym zameczkiem z XVII wieku, który miał legendę oparcia się Szwedom, był stróżem nocnym, oficer, o którym wiedzieliśmy, że był przed wojną oficerem o nazwisku Stanisław Szabunia, który nas zaczął szkolić wojskowo. To znaczy znalazł jakiś karabin, obchodzenie się z karabinem, z pistoletem. Potem po prostu po ~~swym~~ ożacie złożyliśmy przysięgę. A my to znaczy mój kuzyn Ryszard, ale również i chłopcy, którzy w owym czasie, nasi koledzy, synowie znajomych naszych rodziców, ciągnęli do nas jako robotnicy rolni, ~~do~~ z głodnego Wilna. Przyjeżdżali jak gdyby na roboty, czy powiedzmy, żeby jakoś się utrzymać. Bo w Wilnie było głodno, właściwie nie mieli oni dostatecznych środków do utrzymania się i właściwie zrobiła się tam taka kolonia młodzieży, chłopców. Oprócz tego były moje kuzynki, dziewczyny. Ale taka kolonia chłopców w której pełnił różne funkcje. W gospodarstwie. Ja osobiście byłem oborowym. Musiałem wstawać do krów o 4 z rana co przypominam sobie bardzo przyjemnie. Co prawda trudno było czasami wstać, ojciec ~~nie~~ zastępował. Ale wyjść do rannego ładu, zwłaszcza wiosną było ogromnie przyjemnie. Kiedy później, po ładu wychodziło się a wtedy z okolicznych łąk dobiegały głosy tokujących cietrzewi.

- Czy pan osobiście doił krowy ?

- Nie ja byłem dyrygującym. Była cała masa dziewcząt- dojarek,



był główny pastuch, od którego się wiele nauczyłem: wypasać cielaki przy rodzeniu, różne zabiegá przy danych krowach. W każdym razie byłem tym, który miał klucze do wydawania paszy treściwej krowom, od mleka. Jeździłem do sąsiednich majątków oceniać ilościowo mleko. I właściwie to wszystko się fałszowało. Prawdę powiedziawszy to wszystko odstawiało się do serowarni, która była w Wojciennikach, właśnie w dawnym majątku Putkamerów. Ale tam się to wszystko fałszowało. Z nadwyżek można było mieć masło i ser. Było głodnawo jednak dosyć. Ale trzeba było to ewidencjonować. Z takich wyjazdów przypominam sobie takie wrażenie: bo jak jeździło się na udój to się cały dzień siedziało w tym majątku. No i kiedyś wracając z rana po porannym udhju saneczkami. I tak wyjechałem z lasu i koń zaczął chrapać. ~~Zaczęłam~~ Zaczęłam patrzeć co się dzieje, a to wilki takimi ogromnymi ~~sułami~~ sadziły przez śnieg. No i takie tam było spotkanie z wilkami. Ja tam się specjalnie nie bałem. Byłem zadowolony że widziałem tak w naturze i tak blisko te przebiegające wilki, które tam u nas były. To była rzecz normalna, ale najczęściej widziałem się ślady. Ale tak zimą, w takim pięknym krajo**z**obrazie śniegowym. Prawie tak jak z obrazów Wierusz Kowalskiego. Oczywiście wilki nie napadały tylko przeszły. Koń chrapał a wilki sobie pobiegły i tyle. Byłyż tam także toki cietrzewi. Nie było mowy oczywiście o żadnym polowaniu, o żadnych strzelbach ~~ani~~ ani o niczym. Ale człowiek podkradał się do tych cietrzewi, tak o parę metrów na tych łąkach. Widoki są nie zgromione i taki kontakt z przyrodą jaki trudno sobie wyobrazić. Pomi**o**mo- że jesteśmy surowi to te ranne wstawanie miło sobie przypominam. Inni z kuzynów różne funkcje pełnili. Moja siostra zajmowała się właśnie chlewnią. Świn**o**m wydawała pasze treściwe. Oczywiście była także tam niewiasta obsługująca te świnie. Tych świń było tam kilkadziesiąt. Kuzyn ~~ni~~ miał klucze od spichrza a najmłodsza kuzynka Hala Kiersnowska, która mieszka już ~~na~~ stała w Londynie, zajmowała się kurami. Tak więc wszyscy mieliśmy

jakieś funkcje. A ci koledzy, którzy przyjeżdżali musieli pracować fizycznie. Tak jak na przykład Jurek Wróblewski, był rektorem Uniwersytetu w Łodzi, przeżywał ciężkie chwile pracując ciężko fizycznie. Dorobił się ogromnych mięśni, ale biedak był zawsze głodnym, ponieważ dla niego nie wystarczało. Nam wystarczało, ponieważ nie pracowaliśmy fizycznie. To jemu zawsze brakowało. Ale chcę powiedzieć, że tam młodzież była tym zaczątkiem późniejszej kadry partyzanckiej, którą przy tym pracując szkoliła się wojskowo. Zostaliśmy zaprzysiężeni do tej sprawy konspiracyjnej. Okazało się, że dzieje się to powszechnie nie tylko we dworach, w zaściankach, wsiach. Te sprawy się rozszerzają. Właściwie celem tego wszystkiego było znalezienie broni, której zostały ogromne ilości po wycofaniu się Armii Radzieckiej. Przeważnie była to broń rosyjska. Była troszkę broni, którą Wojsko Polskie zakopało w 1939 roku. Była ona w bardzo różnym stanie. Zdarzały się karabiny francuskie z pierwszej wojny światowej i majliery austriackie i lebele belgijskie. Różna broń była wyciągana. Najgorzej, że były takie obrazanki jak to się nazywało, takie ucięte karabinki, co stanowiło właściwie bandycką broń, która była ścigana przed wojną przez policję, bo taki krótki, obcięty karabin chowało się gdzieś tam pod połą jakiegoś kozucha. Była to właściwie broń bandycka, która, że tak powiem, wpłynęła do tej partyzantki. Więc zaznajomiliśmy się z regulaminami wojskowymi, z bronią, z całą tą piechotą, dowodzeniem na niższym szczeblu, na szczeblu drużyny. Bo tak właśnie nam, którzy mieliśmy już średnie wykształcenie jak ja byłem już po maturze, jak moi kuzyni, którzy jednocześnie robili matury bo zorganizowaliśmy tajne kompletety.. Okazało się że w okolicy jest wielu ludzi, którzy są zawodowymi nauczycielami, albo byli pracownikami uniwersytetu, albo byli związani z nauką i którzy naszą młodzież przygotowywali do matury. Zrobiło się tajne kompletety. Zrobiła się tajna biblioteka polska. Miała ona, jak so-

bie przypominam rzeczy bardzo poczytne. Jak na przykład "Przeminęło z wiatrem". Chodziło to w kawałkach, była gruba. Zawsze trzeba było czekać. Została podzielona na 10 odcinków, które się wymieniało. O tyle było to aktualne, że chociaż odnosiło się do warunków amerykańskich, ale my właściwie mieliśmy coś takiego podobnego. Jakąś taką wojnę, jakiś czas grozy. Właściwie biblioteki zostały zniszczone. Były tylko pojedyncze egzemplarze, które gdzieś tam chodziły. Zdobywane były na wagę złota. I robiły się całe ciągi tego czytelnictwa. U nas mieszkali ludzie, którzy zajmowali się innymi dziedzinami, że tak powiem, kultury, czy sztuki. Mieszkał pan Wierusz Kowalski, bardzo znany, syn jeszcze sławniejszego Wierusz Kowalskiego od wilków jak to się mówi - malował u nas. Mieszkała u nas pani Krysztyna Wróblewska, późniejsza żona pana profesora Wróblewskiego z Wilna, profesora prawa, a obecnie profesora rysunku na Wydziale Architektury w Krakowie. Zrobiła mi ona zresztą portret ołówkiem. Mieszkali i inni ludzie. Prawnik ze Śląska pan Wielgus, był, on ogromnie cennym człowiekiem, znał perfekcyjnie język niemiecki i wobec tego mógł się porozumieć z Niemcami, którzy przyjeżdżali na kontrolę, a zdarzało się że przyjeżdżali. Wtedy młodzież uciekała. Tylko starsi, ci którzy musieli z nimi konferować. Nikt z nimi do stołu nie siadał, tylko ojciec, który musiał, tylko matka która musiała stryjenka który musiała - byli gospodarzami, Ale w każdym razie stół i pokój jadalny miały zupełnie inny wygląd Niemcy i ci którzy musieli być. Natomiast w ogóle nie było młodzieży, Częstoowano ich obiadem. Przyjeżdżali na kontrolę gospodarstwa i to było wymagane ale początkowo byli na tyle naiwni, że przypominam sobie, że w części dworu były kancelarie "ostlandu", zostawili pasy z nabojami i szli sobie na obiad. Przypominam sobie, że będąc przeszkolonym w tej broni, chodziłem tam aby wyjąć pistolety z kabur, żeby potrzy-  
mać i żeby przynajmniej po jednym naboju wyjąć z pistoletu. Myśla-  
łem sobie - przynajmniej po jednym naboju. To była sprawa o której

nawet moi rodzice nie wiedzieli. To było przecież głupie i ryzykowne, ale nie mniej jednak to była satysfakcja. Dotknięcie tej broni i przynajmniej jeden nabój Niemcowi wyciągnąć. Szczęśliwie, że to się nam udało. Ale to mogło być tylko na pierwszym lub drugim roku. Bo później stosunki stały się bardziej napięte. Zaczęła się tworzyć samoobrona przed zbieraniem kontygentów. Tym bardziej, że Niemcy zaczęli do tego wykorzystywać Litwinów zorganizowanych w wojsku Plechaviciusa. Policja białoruska nas nie dotyczyła, była parę kilometrów. Natomiast nas dotyczyła policja litewska, która czasami stacjonowała w Bienakonach, współpracowała z Niemcami. Ale oni raczej kontygentów nie ściągali. Natomiast oni byli tacy zastraszeni na tym terenie, który właściwie nie miał Litwinów i był zupełnie wrogi i obcy. Natomiast były dwie formacje litewskie tego Plechaviciusa, ale to już nastąpiło wtedy, kiedy polska partyzantka była już dobrze zorganizowana. Nastąpiło to w roku 1943, kiedy były już leśne oddziały, kiedy to już było zorganizowane. Ja mówię jeszcze o tym pierwszym okresie tworzenia się siatki konspiracyjnej, która była ogromnie ważna. Bo ta partyzantka na wielość szczyźnie i nowogródzczyźnie tylko dlatego mogła się rozwijać i dojść do takich imponujących rozmiarów. Ona była bardzo mocno oparta o tę konspiracyjną siatkę ludności o komórki konspiracyjne. Prawie w każdej wsi była taka siatka, miejscowej samoobrony z bardzo oddanymi sprawie młodymi chłopcami i starszymi gospodarzami i to niezależnie od tego co mówili. Były wsie takie dobre i były wsie takie gorsze. Ale w każdym razie to było bardzo powszechne. No i tak trwało takie życie, które nabierało coraz większej grozy, dlatego, że okazało się, że Żydów z tego pobliskiego misteczka, Niemcy każą im nosić gwiazdy, potem robią getto z tych Żydów. Oni byli głodni. Do ojca przyjeżdżali z różnymi prośbami i pokryjomu. Pamiętam że ojciec wysyłał całe wozy z kapustą żeby im wszystkim pomóc, tym Żydom, których się znało przed wojną i którzy byli taką

społecznością, która była zrosnięta. Prowadzili sklepy, byli handlarzami zboża, takimi kupcami leśnymi, handlarzami końmi. Była to społeczność właściwie od wieków związana z ludnością tam mieszkającą i wobec tego, że wtedy taką biedę przeżywali. Wtedy nikt jeszcze nie myślał, że ich zaraz rozstrzelają, tylko, że oni trafili do takich gett. No to się im tam pomagało.

- Ale czy to był handel czy pomoc ?

- Pomoc bezinteresowna. Wtedy nie było żadnego handlu. W tym okresie ktokolwiek dostał cokolwiek z tych ludzi, absolutnie. Może byli tacy ludzie, którzy robili to interesownie i Żydzi tam kupowali. Podobno nawet za złoto. Ale ja się osobiście w mojej rodzinie z tym nie spotkałem. Była u nas taka jedna służąca, o której mówiono po cichu, że jest Żydówką. Wyglądała bardzo poważnie. Chodziła do kościoła. Tylko że zauważyliśmy, że ona nie umie tego robić. Takie były bardzo różne styki. No i właśnie przeciwko temu zaczęli się organizować Litwini w tych wojskach Plechavicziusa. Potem okazało się, że tych Żydów rozstrzelują. I ci Żydzi uciekają z tych gett. Oni są głodni. Oni chodzą po lasach. Sam wyciu kiedyś znalazłem takie wydeptane place, gdzie oni nocowali, ci biedni. Bo oni w lesie, w życie. No i oni teraz właściwie zaczęli ciążyć tej partyzance radzieckiej, która na początku zorganizowała się z żołnierzy uciekinierów z obozów, które Niemcy zrobili dla nich i którzy zastosowali w stosunku do żołnierzy radzieckich nieludzkie metody. Po prostu wykłaczali ich głodem. Wobec tego ci ludzie doprowadzeni do ostateczności, ogólna ich ilość umierała, ale niektórzy bardziej przedsiębiorczy mimo wszystko wytrwali, wyrwali się z tego i szli do lasu, do Puszczy Rudnickiej. Tam zaczęła się robić na początku jak gdyby, baza właśnie tych partyzantów - żołnierzy radzieckich i tych Żydów uciekających. Ponieważ to nastąpiło nieco wcześniej niż zorganizowanie się AK, więc to było potem takim źródłem tego, że nawiązał się kontakt z "Wielką Ziemią" i ze Związkiem Radzieckim. Były zrzućy, był kontakt, przesyłki odpowiednich komandirów i w

Puszczy Rudnickej, która była bardzo niedaleko od nas zrobiły się takie grupy radzieckie, które zaczęły szukać żywności, chodzić po terenie i zdobywać tę żywność. Ponieważ oni operowali językiem rosyjskim to nasze oddziały, już tych przeszkolonych ludzi, którzy jeszcze nie poszli do partyzantki - była analogiczna. To znaczy chodziliśmy szukać broni - to właśnie podszywaliśmy się pod te oddziały mówiąc po rosyjsku - oczywiście jak się dało, bo nikt z nas tego rosyjskiego nie znał dobrze, ale w ogóle to tam była plątanina języków. Wobec tego w pierwszym okresie zdobywając broń, występowa- liśmy zwykle jako tacy nie polscy partyzanci ale , że z tego względu że jeżeli komuś coś zabraliśmy, głównie chodziło o broń, to żeby potem nie było niemieckich represji na ludności polskiej, żeby tego nie było. To był już następny etap organizacji tej całej siatki konspiracyjnej. Już to wyjście nocą, zbrojne. To były jednocześnie ćwiczenia i często jakieś konkretne zadania. Na przykład ćwiczenia z wysadzaniem torów albo słupów telefonicznych - to były zajęcia minerskie, ale zawsze w ~~kontakcie~~ kontakcie z ludnością pod płaszczykiem rosyjskim, radzieckim nie wiadomo jakim. Ale okazało się, że przeszło jeszcze trochę czasu, już byliśmy zorganizowani, zaprzysiężeni. Zresztą ~~po~~ po raz drugi. No i zaczęły się takie wieści pojawiać, że tu się pokazało Wojsko Polskie, w sąsiedniej ~~wsi~~ wsi. Wojsko Polskie w mundurach. Taki jeden znajomy leśny Fornal przyjechał i mówi: Paniczku, Polacy są w mundurach. Oficerowie. Pięknie umundurowani, Wojsko Polskie jest. Taka to była rewelacja. Myśmy się orientowali kto to jest, ale na ludziach robiło to piorunujące wrażenie . Były to pierwsze oddziały AK, które poszły do lasu już na początku 1943 roku. To były oddziały Ragnera, które to nazwisko trochę przekręcono i na niego mówiono Regnar. Już swój oddział organizował "Krysię", który na razie nie miał jeszcze struktury takiej jaka była później.

- A Kmijac Nawałczen nie był pierwszym ?

- No chyba, ale to było daleko od nas, na północ od Wilna, a

ja mówię o nas ciągle na pograniczu województwa wileńskiego, nowogródzkiego. Między Wilnem a Lidą. Ja byłem naocznym świadkiem i o tym mówię. Z historii to ja wiem dużo innych rzeczy., z tego co działo się na północy Wielieńszczyzny, co działo się wśród kolegów bliżej Wilna. Ja mówię o ~~tych~~ tym jak się to tutaj organizowało. I wobec tego myśmy zaczęli się zapalać do tego potrzebne jest przeszkolenie. Najpierw mój kuzyn poszedł do takiej leśnej podchorążówki. On poszedł do lasu na miesiąc. Zakończono to było takim dyplomowym rozbiciem posterunku niemieckiego w Bojcieniszkach. Na nowy rok, kiedy rozbito tych Niemców, zdobyło broń, ale niestety ~~jednego~~ z naszych kolegów zginął i jak się okazuje nie wiadomo czy go to Niemcy czy w ogóle sam się postrzelił. Takie były początki, takie zdobycie zameczku gdzie byli Niemcy, ale tragicznie się skończyło, bo właśnie jeden z naszych kolegów został tam zabity. O tyle pozytywnie, że Niemców się rozbiło, broń zdobyło, krabin maszynowy. To był taki nasz dyplom.

- A Niemcy. A jeńcy?

- Jeńców się wypuszczano. Tam chodziło o broń, o mundury.

- Tak. Ale czy tych którzy się poddali rozstrzeliwano ?

- Nie. Absolutnie nie. Ich puszczano. Bo nie o to chodziło.

Gdzie też można było tych jeńców trzymać. Wszystko by zdekonspirowali. A rozstrzeliwać, niby po co? Myśmy nie mieli takiego założenia. Rozstrzeliwało się kogoś za coś.

- A SS-owców jeżeli się trafili ?

- W tych punktach to SS-owców nie spotykało się. Tam był Wermaht i to taki drugi rzut, starzy.. Robiono to z wielkim entuzjazmem. Czasami były nieporozumienia. Ja wtedy jeszcze pracowałem. Ale później jak to się zaczęło rozwijać to trzeba było - mieliśmy ogromną chęć pójść do partyzantki, ale to wtedy nie nazywało się AK. Nie wiedzieliśmy, że to się tak nazywa. Partyzantka polska, wojsko polskie tak to się mówiło. Leśne Wojsko. Żeby tam pójść. Wszyscy chłopcy

rwali się do tej roboty.

é- Byłem świadkiem kłótni PARTYZANTOW, którzy twierdzili, że jest to niemożliwe, że nie wiedziałeś, że jesteś w AK. .

- Ja dowiedziałem się, że jestem w AK w czerwcu 1944 roku, kiedy dostaliśmy legitymacje. Przed zdobywaniem Wilna, kiedy przyszliśmy to, że przyjmował naszą defiladę, była inspekcja generała Wilka. Kiedy zobaczyliśmy oficerów z białoczerwonymi opaskami i z tymi literami AK. Ja jeszcze zastanawiałem się co to może być to AK.

- A rota przysięgi AK-owskiej. Czy tam była wymieniona Armia Krajowa.

- Nie. To było Wojsko Polskie. To jakoś nie funkcjonowało. Tak owszem docierał do nas Biuletyn Informacyjny, któryśmy czytali, ten z Warszawy. Oprócz tego były pisemka konspiracyjne wileńskie i miejscowe. Ale u nas to nie funkcjonowało w pierwszym okresie.

- A biuletyn. Czy nie był on sygnowany przez AK ?

- Tak. No to co z tego. Myśmy poszli do Wojska Polskiego.

- Wiedzieliśmy, że jest. Wiedzieliśmy, że to akurat my się tak nazywamy. To myśmy się dowiedzieli w czerwcu, lipcu 1944 roku.

Że to my jesteśmy oddziałami AK. Wiedzieliśmy, że jesteśmy V Batalionem 77 Pułku, który dawniej stał w Lidze. Pułk piechoty, że to jest taka formacja. Ale proszę pamiętać, że ja to mówię z pozycji pionka. Co prawda byłem po matryce i później okazało się, że jestem podoficerem - podchorążym. Ale ja z początku byłem żołnierzem, później strzelcem, potem dostałem kaprała, a potem jako plutonowy dowodziłem drużyną. Ale ponieważ byłem z cenzusem podchorążego, nasze wiadomości ogólne, polityczne były prawie zerowe. Nie interesowały nas. Nas interesowała walka z okupantem, z Niemcami.

- A jaki był stosunek do partyzantki sowieckiej ?

- Początkowo to byli czerwoni. Właściwie to byli Żydzi, którzy przychodzili po jakieś produkty spożywcze. Oczywiście oni często rabowali, często te formacje siatki stanowiły samoobronę. Ale



później dogadano się na tyle z tą czerwoną partyzantką, która stała się tam bardziej zorganizowana, że wydzielono rejon na ich zaopatrzenie, że już nie było tych "dzikich" rabunków żywności, zwierząt, maki i , kaszy i. t. d. Po prostu oni mieli swój rejon, gdzie się zaopatrywali. Zrobiła się jak gdyby podziemna organizacja polska, która ich uznawała, tolerowała i z nimi był nawet w naszej brygadzie porozumienie. Chodziło głównie o zaopatrzenie, a nie o strefy wpływów. Chodziło o to, że oni musieli żyć, musieli mieć jedzenie. Ale tych którzy tam byli, było ich bardzo niewielu wojskowych, a bardzo dużo cywilów, Żydów i różnych takich co się tam pochowali.

- A czy potwierdza Pan to co słyszałem, że w tym początkowym okresie działalność rabunkowa tych właśnie grup uciekinierów żydowskich i tych żołnierzy sowieckich, że nawet były likwidacje tych grup traktowanych jako bandyci.

- Tak. Były nawet wypadki, że postrzelali się w lesie. Nie wiadomo kto z kim. Poza tym ta samoobrona zaczęła reagować przeciwko bandytom. Na początku naprawdę nie było wiadomo kto oni są. A przecież taka sytuacja rodzi w ogóle bandytyzm. Potem to zostało jak gdyby zlikwidowane przez tę siatkę, przez te regulane oddziały, w których były regulane sądy, regularna dyscyplina. Wykroczenia przeciwko dyscyplinie były karane. Ja sam widziałem karanie. Zdarzały się wypadki rozstrzeliwania. Ja szczęśliwie nie brałem w tym udziału ale na przykład w wymierzeniu 25 na goły tyłek "sam-pałonów" czyli tak zwanych wyciorów - to widziałem. Był to paskudny widok. Jedno uderzenie to sina pręga, drugie to sina pręga, a potem jak to się krzyżuje to krew występuje ze skrzyżowań tych pręg. Paskudne to jest. Ale była to kara za rozbój, za jakieś przekroczenie - to właśnie na ten goły tyłek. To było dla żołnierzy kara nie stosowana ponieważ była to strasznie hańbiące. Najłżejszą karą dla żołnierza było stanie pod karabinem na baczność godzinami. Zdarzało się, że mdleli. Ale to była kara za jakieś nadużycie alko-

cholu, za buchnięcie czegoś. Zdarzały się różne rzeczy. Karano za ukradzenie mięsa. Nawet w piosence u "Krysi" było : "To za wódkę to za mięso nad karabin stawia często". - Była taka zwrotka. Później już w tych oddziałach regularnych to dowódcy żelazną ręką trzymali.

- A czy sprawy męsko - damskie też były karane ?

- Muszę Panu powiedzieć, że w tych oddziałach i tam gdzie ja byłem to właściwie było nieistotne. Zupełnie tego się nie uważało, może na wyższym szczeblu. Owszem były jakieś sympatie, ale myśmy tak często zmieniali miejsca postoju. Myśmy byli zawsze tak zagonieni, tak zawsze obciążeni fizycznie. Przecież to były marsze nocne, a w dzień się gdzieś spała w prymitywnych warunkach, na podłodze. Byliśmy młodzi. Może gdzieś się to zdarzyło, ale ja w najbliższym otoczeniu nie widziałem. Czyli było zjawisko marginesowe. Było, zapewne było, ale zdarzało się to w wyższym dowództwie. To było może wśród tych starszych może, gdzieś tam coś takiego, ale nie było to ani powszechne ani widoczne. Na ogół to nie było problemem. Oczywiście były łączniczki, były partyzantki. Oczywiście one zwykle się w kimś kochały, ale to dyskretnie na tyle, że to nie rzutowało. Ale to późniejsza sprawa. Bo właściwie jak to zaczęło dojrzawać do tego aby pójść do partyzantki to o tyle było łatwiej jeszcze o pozwolenie od rodziców. Co prawda myśmy się nie bardzo pytali o to pozwolenie, ale trzeba przyznać, że tutaj coraz bardziej zaciskał się pierścień okupacyjny. Coraz bardziej młodzież była narażona na wywóz na roboty. W każdym razie na represje. W każdym razie dużo młodzieży z miast i ze wsi musiała się ukrywać. Bo to się gdzieś narazili, bo się bali, że ktoś ich wyda, że ktoś coś. I w rezultacie zaczęły się tworzyć te oddziały. Ja osobiście poszedłem jeszcze w 1944 roku na takie bojowe przeszkolenie do II Batalionu 77, gdzie dowódcą był "Krysi", ale to nieważne. Ważne było, że to był II Batalion. Szło się do "Krysi", a

"Kryśia" miał już taką swoją sławę partyzancką. Należało i tam trafić do kompanii, która składała się z partyzanckich żółtodzióbów. Zrobiono całą kompanię szkoleniową. Ale inne kompanie to byli wytrawni partyzanci. A szczególnie był taki pluton doskonale uzbrojony, ten który rozbił więzienie w Lidzie z dowódcą plutonowym ~~Pr~~rony, który z wojska niemieckiego przyszedł. Umundurowani w niemieckie mundury z niemiecką bronią. Taki szturmowy pluton, na który wytrzeszczali oczy jak patrzyliśmy na ten pluton, uzbrojony po zęby, z taką legendą partyzancką. Tam zdobywaliśmy umiejętności partyzanckie, które były ogromnie ciężkie dla kogoś kto miał, nie mówiąc o warunkach przedwojennych, z dobrobytu którego wyszedłem, ale z tych wojennych warunków, gdzie już było i głodno i różnie, to jednak to co w tej partyzantce było to bardzo trudne do wdrożenia się. Po prostu to była zima, to był śnieg. To się zmieniało miejsca pobytu, postoju prawie codziennie idąc wiele kilometrów zimą żeby zająć jakąś wieś, w której stawiało się warty z przodu i z tyłu i w chałupach które były bardzo różne, brało się słomę na podłogę. Nie można było iść na żadne łóżko, na żaden piec. Tam miała być przyniesiona świeża słoma. Rozwałło się ją na podłodze. Często to było nawet klepisko. Zdarzyło się nawet, że nowowałem w takiej chałupie, na klepisku gdzie w rogu stały cielaki, pod piecem były kury a gdzieś tam jeszcze młode prosięta. Był taki mróz, że gospodarze wzięli to wszystko do chałupy. A na klepisku, na słomie spaliśmy jeden przy drugim przez całą noc. Dobrze było jeżeli można było spać. Czasami zdarzało się, że pluton czy drużyna w której byłem miała wartę.

- Czy buty i ubrania zdejmowaliście ?

- Buty musieliśmy zdejmować, bo w butach trudno było spać po tak długim marszu i problemem były jeszcze onuce, które może chłopcy wiejscy nie mieli z tym kłopotów, trudności. Ale ja miałem, ponieważ onuc nigdy nie używałem, a w partyzantce trzeba było nauczyć się zwijać onuce i szybko to robić dobrze, tak żeby nie uciskały

a więc zdejmowanie butów, rozwijanie onuc to dla mnie była cała filozofia, którą- zresztą dobrze opanowałem i dopiero później doceniłem wagę onuc, które bardzo dobrze służyły przy wielkich marszach. Jeżeli zdarzała się służba to spało się dwie godziny. Co dwie godziny szło się na wartę. Stało się w śniegu, zamieci, na brzegu wsi z bronią przygotowaną do strzału. Właściwie było się sprawdzanym przez dyżurnego i właściwie nastawieni byliśmy na to, że może ktoś iść, ktoś jechać, może być jakaś sprawa. Tak że podczas marszu służba była bardzo uciążliwa. Jak mówiłem wsie te zmieniało się bardzo często. W czasie tego, jak zrobiło się później cieplej robiono z nami różne ćwiczenia polowe. Takie ćwiczenia wojskowe których uczyliśmy się jak żołnierze mimo, że mieliśmy już takie przeszkolenie teoretyczne w konspiracji. To jednak ta partyzancka praktyka bycia w ciągłym pogotowiu, tego przemieszczania się była bardzo uciążliwa. Czasami było trudno. Tym bardziej że z higieną było różnie. Ja mówiłem o tej chałupie z klepiskiem a zdarzało się że trafialiśmy do bardzo porządnych chałup. Czasami zdarzało się stać nam w dworach. Ale to było bardzo różnie. I wspominam tu te rzeczy, które były najbardziej drastyczne. To te biedne, zapadłe w lasach wsie w których nie widziałem kurzych chałup, ale w każdym razie były bardzo prymitywne. Szczególnie zimą było to bardzo doskwierające. Tak że zmęczenie było ogromne. Trzeba przyznać że był i inny aspekt sprawy. Właściwie do oddziałów partyzanckich, do których trafiłem, ich główny skład stanowili wujscy chłopcy, którzy w nowogródzkich batalionach stanowili zdecydowaną większość. Tam tych chłopców z miasta było mało. Troszkę z Lidy, chłopców z Wilna którzy przechowywali się na wsi. Oni bardzo prędko stali się kadrą podoficerską, dowódcami drużyn. Natomiast już dowódcami plutonów byli przedwojenni, przeszkoleni żołnierze, podoficerowie, podchorążowie. Ja miałem dowódcę, najpierw u "Krysi" takiego podoficera który był drużynowym a potem dowódcą plutonu był już nawet jakiś oficer. Oczywiście dowódcą kompanii był zawsze oficer. Na początku

ze zrzutami nie spotykaliśmy się. To wszystko byli oficerowie, którzy się zachowali, którzy gdzieś się ~~xx~~ przechowali. Czasami niektórzy byli oficerami rezerwy <sup>na</sup> tych wyższych stanowiskach. Inni byli zawodowymi ale niektórzy byli z przedwojennych podoficerów, z miejscowej ludności, którzy poszli do partyzantki i pełnili służbę. Trzeba powiedzieć, że partyzantka ta była dla nas korzystna dlatego, że teren był, już zorganizowany i tam już konspiracyjna służba gospodarcza dostarczała ogromne ilości różnych rzeczy. Dostarczały nie ~~tylko~~ <sup>tylko</sup> uzbrojenia, które było nie tylko zdobywcze ale i kupowane. Oni również kupowali gdzieś za złoto od różnych formacji dezerterskich czy nawet robili czasami handel z własowcami, którzy się później tam pojawili. Z Litwinami chyba mniej. Litwini mieli zresztą broń holenderską bardzo mało przydatną, ale nawet z Niemcami. Zdarzało się kupowanie broni i przekazywanie oddziałom leśnym. Następnie cała ta służba gospodarcza, która zaowocowała tym, że pod koniec partyzantki właściwie całe leśne wojsko było jednolicie umundurowane w letnie mundury z płótna lnianego farbowanego na kolor khaki z jednakowymi pasami. Właściwie to było jednolite wojsko. Był to wielki wkład tej konspiracyjnej siatki gospodarczej, która nas w to wszystko zaopatrywała. Szyli kabury do pistoletów, były pasy, mapniki. W każdym razie ogromny wysiłek całego społeczeństwa Nowogródziny, Wileńszczyzny w umundurowanie swojego wojska i zapewnienie mu żywności i tego wszystkiego co jest mu potrzebne aby wyglądało. Te guziki, orzełki z blachy jakiejś. Było to wszystko dosyć jednolite, jakkolwiek na początku ~~wychodziło~~ wychodziło się z różnorodnych mundurów niemieckich, radzieckich i jakiś kombinowanych. Cenione były kombinezony radzieckie, które z jednej strony były zielone, z drugiej białe. Kombinezony te były praktyczne na śniegu niewidzialne. Więc i takie rzeczy kombinowaliśmy. Posługiwało się sankami, które się rekwirowało. Gospodarze byli bardzo oburzeni, że ich się zmusza do jazdy bo tego się bali. Ale jakoś,

ponieważ po pewnym czasie zobaczyli, że to są tacy sami jak oni, że mówią tym samym językiem, często prostym. Czasami to ludzie doskonale zorientowani w terenie. Właściwie to tacy nasi. Więc wobec tego kontakty nawiązywały się bardzo szybko i właściwie były bardzo dobre. Tak, że nie pamiętam aby były jakieś scysła z ludnością zamieszkującą wieś i z tym przychodzącym oddziałem partyzanckim który był dla nich ciężarem. Ciężarem i strachem, że może zjawić się zawsze jakiś oddział niemiecki czy białoruski, czy Litwini litewskiej, który mógłby coś takiego zrobić. W każdym razie to przeszkolenie, które przeszedłem trwało ze dwa miesiące, aż do Wielkanocy. Jak przypominam sobie, kiedy dostałem urlop. Nie wiem nawet czy to przeszkolenie się skończyło ale dostałem urlop z tej partyzantki na święta wielkanocne. Zostawiłem broń, zostawiłem to wszystko i przyszedłem do domu. W czasie tego było zdobywanie Bienakon przez moich kolegów. Okazało się, że oni i inni zdobywali posterunek litewski i ostrzeliwali się z Niemcami. Toteż jak ja przyszedłem na te święta, no to okazało się, że tutaj jest ta siatka konspiracyjna, że trzeba jakiegoś rannego wynieść z plebanii. Toteż ja ze swoją stryjenką, zaprząłem konia do saneczek i pomimo że śnieg topniał, pojechałem do plebanii do miasteczka, do Bienakon. Był ranny w głowę partyzant. Nawet nie wiem jak się on nazywał. Wieczorem pojechaliśmy o zmroku mimo ostrzeliwania. Wywieźliśmy go przez łąki, błota do takiej placówki, znajomych również rodziców dowódcy naszego plutonu, Zalewskiego. Później zajęła się nim służba lekarska naszej partyzantki. Ale w każdym razie był to czas niespokojny. Byłem szczęśliwy, że po paru miesiącach, co tu mówić, również wszy i niedomycie i cholernego zmęczenia i tych strasznych odcinków na nogach i tego cholernego zmęczenia. Ale byłem już partyzantem. Więc w te święta nie odczułem że jestem w domu. Ale właśnie te 2 kilometry - zdobycie miasteczka i będąc na tej placówce na drugi dzień Wielkanocy dostałem rozkaz od placówki, żeby poje-

chać do takiej wsi za Werenowem i tam od rymarza wziąć kabury od  
pistoletów, które on zrobił, uszył i przekazać je, już nie pamię-  
tam nawet gdzie. Wobec tego, nie dużo myśląc, ponieważ już właści-  
wie śnieg leżał na polach, a szosy i drogi były od tego śniegu luźne.  
Że ja jednak tam pójde, te kilkanaście kilometrów. Ale wsiadłem  
na rower, który trzeba było ukrywać przed Niemcami. Myślę sobie,  
że jakoś tam dojadę. Rowery były rekwizowane. Ale był w "ostlan-  
dzie" rower służbowy. Nie wiem czy pytałem ojca czy kogoś. W każdym  
razie wsiadłem na ten rower i pojechałem. Wziąłem oczywiście na tę  
okazję ausweiss na tereny białoruskie, przez miasteczko Werenów,  
które było o 10 kilometrów, pojechałem do tej wsi, przejechałem  
przez miasteczko spokojnie, z dokumentami i pojechałem do tego  
wiejskiego rymarza. Wziąłem jak dziś pamiętam, w taki worek uszyty  
z samodziału barwnego, charakterystycznego. Taki worek, do tego  
tych 12 kabur do tych pistoletów włożyłem. Kabury były uszyte z  
juchtu, takiej ~~głębokiej~~ grubej skóry. Na rower załadowałem i właści-  
wie idąc, bo na tych bocznych drogach był śnieg, rower pchałem.  
Dochodzę do tego Wereniowa. Tych parę kilometrów przeszedłem i  
słyszę, że w tym miasteczku Wereniowie są strażnicy. Wobec tego :  
ominę to miasteczko takim wielkim łukiem, bo tam przecież coś się  
dzieje. Powiedzmy 2 kilometry idę przez śnieg, pcham ten rower  
przez taki las. Wychodzę z lasku i zmartwiłem. Przedemną tryalie-  
ra niemiecka samych umundurowanych Niemców. Mnie całkowicie zmrozi-  
ło. Cofnąłem się do lasu. Wziąłem z tego roweru kabury i chciałem  
rzucić je pod świerk. Ten worek mi się rozwiązał, kabury się rozsy-  
pały rower leżał. Nim się opamiętałem Niemcy byli nade mną. Szcze-  
śliwie był to Wehrmacht. Byli to starzy ludzie. Oni nawet być nie  
chcieli. Ja tylko pamiętam, że leżałem na ziemi, oni mnie pokopali  
butami i nic mnie nie bolało ze strachu. A przed oczami widziałem  
taką szeroką lufę karabinu. Jak się widzi karabin skierowany tak  
do głowy o 50 centymetrów to lufa tego karabinu jest bardzo sze-

roka. Tak bardzo świeci. Byłem nieprzytomny ze strachu. Właściwie byłem osaczony, złapany z dowodami winy. Oczywiście zobaczyli wszystko, rower. A mnie wsadzili do aresztu w Werenowie, gdzie posiedziałem dzień lub dwa. Potem mnie przenieśli do Lidy, do regularnego więzienia. W Werenowie coś mnie tam badali, nie przypominam sobie. A w Lidze to ~~naprawdę~~ dopiero zaczęło się badanie: o co tu chodzi i jak to jest. Dali mi do celi takiego chłopaka, młodego w którym od razu wyczułem szpicla. Pomimo, że w więzieniu byłem po raz pierwszy. Potem zdarzyło mi się być jeszcze wielokrotnie. Ale ten pierwszy raz był najgroźniejszy. Dlatego, że uważałem, że jeżeli udało mi się wyjść z życiem, jeżeli mnie od razu nie zastrzelili to właściwie nie mam żadnych szans i byłem o tym przekonany. Co się w takiej sytuacji robi: modli się, wspomina, układa bajki o tym co się będzie odpowiadało na ewentualne pytania. Stworzyłem sobie taką bajkę, że właściwie ja zostałem sterroryzowany przez jakiś ludzi, którzy przyszli, kazali wziąć te kabury i położyć w innym miejscu w kruszni. Krusznia znaczyła w naszym miejscowym języku "zwał kamieni". Wziąć od kogoś, położyć gdzieś. Właściwie nic więcej nie wiedziałem. Oczywiście tej bajki się trzymałem i na tych wszystkich dochodzeniach w Lidze. Cały czas to mówiłem, a czułem że ten młody człowiek, który jest ze mną, to bardzo ciekawie o swoich rzeczach opowiadał, o konspiracjach, a ja właściwie nic mu nie mówiłem. Oczywiście z mojej ~~przeszłości~~ przeszłości. Opowiadałem mu różne przygody, niestworzone rzeczy, ale w każdym razie zupełnie nieszkodliwe czując w nim takiego wywiadowcę. Prawdopodobnie był takim. Po jakiś 10 - 12 dniach, już teraz nie pamiętam - było dosyć głodno, porcje chleba były bardzo małe, w niemieckich więzieniach były minimalne. Ale ja nawet nie byłem głodyn. Nie zdążyłem być głodny, po prostu byłem nieprzytomny ze strachu. Bo co tu dużo mówić, wiedziałem co mnie czeka. Ale któregoś ranka zgrzytnęły drzwi wyprowadzili mnie tym razem na badanie. Wsadzili do ciężarów-



ki, gdzie siedzieli uzbrojeni żołnierze. Przed ciężarówką jechał łazik z jakimiś oficerami, za moją ciężarówką jechali również żołnierze na ciężarówce i cały ten kondukt wyjechał z Lidy i pojechał w kierunku - wydawało mi się na początku - Wilna, ale potem skręcili na lewo i zorientowałem się, że jadę raczej w kierunku Iższyszek. Ja znałem te tereny dobrze. Siedziałem zresztą w otwartej ciężarówce otoczony tymi żołnierzami z tymi karabinami automatycznymi. Sami możecie chyba sobie państwo wyobrazić co mogłem wtedy czuć. Uważałem że jest to już mój koniec. Koniec tym bardziej, że zboczyli z głównej szosy i za jakiś czas wjechaliśmy w las. Przejechaliśmy jeden las i następny. I proszę sobie wyobrazić w tym następnym lasu zatrzymują się. Z łazika, tego pierwszego samochodu przychodzi do mnie oficer i mówi taką łamaną polszczyzną taką trochę ze Śląska. Żebym wychodził i szedł gdzie mnie trzeba. "Wychodź i idź gdzie tobie trzeba". Złazę z ciężarówki. Widzę, że ci żołnierze nie wysiadają. No a on mówi : "Idź, gdzie tobie trzeba". Więc przechodzę przez rów. To był drugi dzień Wielkanocy 1944 roku. I tak jakoś niedowidziałem im a potem instynktem kierowany biegłem w las myśląc że za mną natychmiast polecą seria, a ponieważ miałem przeszkolenie partyzanckie to biegłem zygzakami. Pamiętam to - że biegłem zygzakiem, pomiędzy drzewami. Biegłem do tego momentu aż padłem z wycieńczenia. Już dalej biec nie mogłem. I było cicho. Żaden strzał nie padł. Coś zupełnie dziwnego. Ja uważałem to za cud boski, jakies w ogóle nie wiadomo co. I właściwie do tej pory zupełnie na prawdę to ja nie wiem jak to wytłumaczyć, co tam zadziało. Oczywiście były domagania moich rodziców. Pierścionki mojej matki zniknęły. Zresztą o tym specjalnie nie było mowy. W każdym razie na ten celposzyły. Były jakies dogadywania się przez te jakies tam wyjątki, przez jakies tam rzeczy. Moi rodzice poruszyli niebo i ziemię. Niemcy na pewno wiedzieli kim jestem, dokładnie, bo złapali mnie z dowodami rzeczowymi. Dla nich rozszyfrowanie ich

~~W~~ w ciągu dwóch tygodni więzienia było nietrudne. W każdym razie na pewno wiedzieli co i jak. Czy to był gest? W owym czasie były gesty Niemców chcących sobie zjednać AK. Na jednanie sobie tej polskiej partyzantki przeciwko partyzantce czerwonej. Przypuszczam, że ja trafiłem na ten okres, że to mogło być na tym tle i to niezależnie od pieniędzy. Jakichś tam złotych świnek, pierścionków. Przypuszczam, że w owym czasie trafiło się na jakąś politykę którą okupant chciał sobie robić w polskim społeczeństwie, żeby je nastawić przeciwko czerwonym, armii radzieckiej. Było to drugiego dnia Wielkanocy 1944 roku.

- Czyli zbliżał się front?

- Tak. Ale jeszcze frontu nie było. Rozwój partyzantki nastąpił jeszcze później. Już taki masowy. Ale już wtedy było dużo oddziałów. Jak mi teraz wiadomo, z tego co przeczytałem, że w różnych okręgach nowogródziny, wileńszczyzny najrozmaiciej się te sprawy układały. W naszym terenie układało się tak, że były kontakty z czerwoną partyzantką a również Niemcy kokietowali. AK. Wiem, że oferowali czasami jakąś broń, jakieś granaty. Czasami było to za jajka czasami za mięso, a czasami to jakieś były - ale mnie to osobiście nie dotyczyło, nie byłem, nie widziałem, nie wiem jak to było. Mnie w każdym nie było na tej linii, no właściwie żyję. Nie wiem jak to tam było. Naprawdę nie wiem. Nawet później rozmawiałem, po wojnie, z dowódcą mojego batalionu Sztrumerem, czyli kapitanem Truskowskim potem dostał podpułkownika za swoje pisarstwo z tego okresu. Znałem go dobrze. Tym bardziej, że był to kolega mojego ojca. Ojciec był kapitanem rezerwy. Kiedyś na przeszkoleniu artylerii spotkał się przed wojną z panem kapitanem Truskowskim, który później w naszej okolicy organizował 5 batalion. Znał ojca, był jakiś kontakt. W każdym razie on nawet później utrzymywał ze mną stosunki. Bywał nie raz u mnie. Pytałem go: Jak to było? o co tu chodziło? Jak to było? On mówi: Proszę pana. Miał pan szczęście. Ja w życiu w ogóle miałem ogromne szczęście. Ale to pierze to było zastanawiające

dla mnie zupełnie cudowne, które dało mi dużo do myślenia - jak to jest z tym życiem ludzkim, które właściwie zależy nie wiadomo od czego. Trafiłem na starych ludzi, na Wehrmacht a nie na żadną SS, na <sup>o</sup> jakiś młodych, tylko na staruchów, którzy nawet bić nie umieli dobrze. Tylko mnie jakoś <sup>o</sup> pokopywali, wrzeszczeli. Trafiłem potem nie wiem, na jakieś tam wypuszczenie. To jest po prostu dla mnie do tej pory - ja nie wiem jak to naprawdę, jakimi drogami to naprawdę biegło. Fakt jest faktem. Wyszedłem. No i wróciłem do domu w nocy. Bardzo ostrożnie doszedłem do domu, bo przecież u nas w domu był taki czas, że stała załoga litewska z karabinami. Nawet był jeszcze, ale to było wcześniej, że kiedyś wracałem wieczorem z jakiejś zbiórki, Litwin wyskoczył <sup>o</sup> do mnie z karabinem. Zmrok się już robił. Ja mówię, że to ja a on krzyczy: "Jurgis", "Jurgis" a nagle pies tego Litwina za łydkę. Więc Litwin do niego z karabinu wypalił, przed domem, na gazonie. Pies poleciał bo kula przszła po żebrach, a ja korzystając z tego wrzasku, strzału wpadłem do domu. Tak że sytuacje tam bywały różne. Zwłaszcza, że stały tam posterunki. Więc bardzo ostrożnie skontaktowałem się z rodziną. Oni byli chyba trochę zaskoczeni. Ale ja już nie miałem zupełnie, wobec tego wypadało jedynie <sup>o</sup> pścisnąć rodziców i iść dalej do partyzantki bo właściwie to już nie można było ani chwili zostać. Dom został całkowicie "spalony". I wobec tego poszedłem do partyzantki. Ale już nie trafiłem z powrotem do "Krysi", tylko do nowego formującego się V Batalionu i właściwie do kompanii porucznika Licho - pseudonim Licho a nazwisko Stanisław Szabunia, do jego kompanii. Dostałem od razu dowództwo drużyny. Tam byłem tylko takim żołnierzem u "Krysi" a tu dostałem dowództwo drużyny. Właściwie to wszystko. Ja wtedy nie zdawałem sobie sprawy z tego, że na mnie <sup>o</sup> patrzono z ukosa. Jednak na tyle dobrze mnie znali, wszyscy dowódcy, że uwierzyli we wszystko co było. Właściwie zacząłem organizować tę dru-

żyne, to pluton, to kompanię. Był to zorganizowany cały batalion, który miał trzy kompanie. To był V Batalion Nowogródzki 77 Pułku A.K. I prze cały czas do końca partyzantki byłem w tym batalionie. Oczywiście przez cały czas byłem dowódcą drużyny. Tak się złożyło, że mieliśmy różne akcje. Nawiasem mówiąc zdobywanie Podworyszek, gdzie mieszkali moi rodzice i stryjenka i siostry. Taka noc była makabryczna, bo wtedy załoga niemiecka tam była. Myśmy ją rozbili. Tam zginął nasz jeden kolega, na łące. Niemcy kazali ojcu, który był zamknięty w spichlerzu powiedzieć, że to był polski bandyta. Przychodzili, byli oczywiście umundurowani. Były to notoryczne sprawy. Nie wiadomo było co się stało z rodzicami. Myśmy zdobyli broń, pobili Niemców i wycofali się. Zresztą pancierka jechała za nami i ostrzeliwała nas w nocy. Ale strzały szły po wierzchołkach drzew. Pancierka bała się dalej jechać. Dojechała do takiego mostku i dalej już nie goniła. Tylko kule świستاły nad głowami a myśmy z tym całym dobytkiem niemieckim stamtąd się wycofywali. To była bardzo piękna akcja, ale proszę sobie wyobrazić, że dla mojego kuzyna Ryszarda Kiersnowskiego, obecnie profesora w Warszawie, to było podwójne przeżycie. To było zdobywanie miejsca, gdzie byli nasi rodzice, gdzie miał być silny opór niemiecki. Szczęśliwie zdarzyło się, zbieg okoliczności, że było to na Świętego Piotra i Pawła, i że Niemcy byli spakowani bo właśnie wyjeżdżali. Tym łatwiej to wszystko zagarneliśmy. Właściwie nie zdobywaliśmy bunkrów tylko zdobyliśmy Niemców, którzy jedźcoze w dodatku, dobrze sobie popili, wycofali się, właściwie wszystko było spakowane, konie zaprzężone. Myśmy ich po prostu zaskoczyli.. Nawet nasz wywiad o tym nie wiedział, że oni będą się zwijać tak szybko. To był czerwiec 1944 roku. Ja opowiadam tylko jedno z tych przeżyć. W każdym razie groza była nie wąska bo strzelanina była przy tej okazji straszna.

Moja rodzina siedziła gdzieś w środkowym pokoju. Ale wszyscy wyszli żywi i nawet potem, chyba dlatego, że front był już bardzo

blisko i właściwie tylko jeszcze tygodnie dzieliły od przyjscia Armii Radzieckiej. Niemcy byli już właściwie w odwrocie.

Z takich wspomnień partyzanckich zawsze wspominam o takich jakichś śmiesznych rzeczach i wesołych. W czasie tego człowiek musiał nauczyć się często jeść łyżką drewnianą z jednej miski. Musiał nauczyć się koleżeństwa. Zwłaszcza, że jak już wspomniałem, gross stanowili chłopcy wiejscy. W mojej drużynie, ale i w sąsiednich, był właściwie element wiejski. Bardziej skądinąd zdrowy, bar<sup>d</sup>ziej, jak się później okazało, przyjacielski, ale w każdym razie trochę inny człowiek. Jeżeli znał kiedyś tych kroki to od innej strony. Ta partyzantka dała mi, że tak powiem, poznawanie i ocenianie ~~tu~~ ~~xxxxxx~~ ludzi bez w<sup>z</sup>ględu na to jak mówili, jak poprawnie mówili, jakie rzeczy ich interesowały w życiu codziennym. Poznałem po prostu specyfikę ludzi tamtych stron. Ocena być może była za bardzo pozytywna. Byli to chłopcy bardzo zaangażowani, tacy prawi. Jeżeli były jakieś wyskoki to zawsze ~~w~~ wśród młodzieży się zdarzało, ale one były zawsze karane. Wiem z takich jakiś partyzanckich wspomnień, że wielkich przewag to tam specjalknie nie było. Ale na przykład było kiedyś takie zdobywanie miasteczka Iszyszki, które miało wokół siebie wsie litewskie. A w Iszyszkach stali Niemcy i Litwini. Litwini stali w miasteczku a Niemcy w tak zwanej jurysdyce, które stanowiła część miast<sup>e</sup>czka, gdzie były bunkry niemieckie. Natarcie naszej kompanii "Krysią" także wspomagał nasz batalion. Nie wiem czy wszystkie kompanie brały udział. Litwini zostali rozbici i usunięci z miasteczka, bo oni wysługując się Niemcom pobierali k~~an~~tygenty.

Zdobycie pożywienia<sup>w</sup> takiej spółdzielni litewskiej, która była sklepem sp<sup>o</sup>żywczym i wycofanie się. Właściwie nie mieliśmy w planie ataku na bunkry niemieckie, które były bardzo umocnione. Właściwie ta akcja była na tyle udana, że Litwini opuścili miasteczko, właściwie sch<sup>o</sup>ronili się pod opiekę Niemców. Myśmy to

miasteczko zajęli na całą noc. Byli tacy, którzy mieli za zadanie właśnie ten bezpośredni atak na Litwinów. Mnie wypadła dość śmieszna rola - mianowicie zdobycie spółdzielni. Zdobycie to było nawet proste, bo okazało się, że trzeba było tylko wywalić zamknięte zamki i całą zawartość tej spółdzielni załadować na wozy i po prostu wywieźć, w czasie nocy i w czasie strzelaniny. Oczywiście myśmy spełniali zupełnie inne zadanie bojowe, ale byliśmy narażeni na obstrzał, bo było gęste pranie. Niemcy z bunkrów prali pociskami świątlnymi. Litwini też. Nasi nie pozostawali dłużni. A przy tym wszystkim myśmy z moimi chłopcami ładowali beczki z marmoladą. Pamiętam, że do końca moich partyzanckich dni, byliśmy tak wygłodzeni i spragnieni słodyczy, że ja ręką z beczki do ust tę marmoladę pakowałem bo byłem i głodny i było to słodkie. Te wszystkie akcje zostały wliczone do akcji bojowych naszego batalionu. Ale nie było to coś tak wielkiego, zajęcie w owym czasie jakiegoś miasteczka obsadzonego przez garnizon litewski czy niemiecki nie było niczym wielkim. Na całej wileńszczyźnie i nowogródzycyźnie odbywały się takie rzeczy. Właściwie front się zbliżał i następnie co nastąpiło to było przygotowanie do akcji "Burza", do zdobycia Wilna. Przedtem nastąpiły właśnie wizytacje, defilady, spowiedź - takie przygotowanie do zdobycia miasta. Kazano tym, którzy nie czują się na siłach, to była sprawa ochotnicza, by wystąpili. Był ogromny napływ młodych ludzi do partyzantki. Z naszych szeregów wszyscy starzy partyzanci zostali a nieliczni wystąpili, że chcą wracać do domu, że nie będą brali udziału w tych walkach ulicznych, bo nam mówiono, że będzie to coś innego niż to zdobycie miasta. Przeszkolono nas w walkach ulicznych, jak to trzeba zdobywać kamienice. O tym żeśmy nie mieli wielkiego pojęcia w lesie jak się na ulicy zachowywać. Grozili, że to już nie przelewki, to nie jest chodzenie po lesie, to nie jest tryaliera po lesie i atakowanie samochodów na szosie, że to są zupełnie innego rodzaju walki.

Do tego żeśmy się przygotowywali na serio. Dostaliśmy legitymacje A.K.Ci którzy zdecydowali się na to - ochotnicy. Dostaliśmy więcej amunicji. Były msze polowe, były spowiedzi, była wizytacja generała Wilka, który wizytował nasz batalion. Ja nie mówię o konkretnych miejscowościach, to jest opisane. Wiadomo gdzie to było. Właśnie w owym czasie widziałem generała Wilka, który dowodził już w tym czasie Armią Wileńską i Nowogródzką. Widziałem także tych nowogródzkich dowódców, którzy się zmieniali. Widziałem w owym czasie przechodzący batalion pod dowództwem Piaseckiego tak zwanego Ubeka. Bataliony kadrowe, które należały także do naszego 77 Pułku Piechoty i też w konsekwencji pod wieczorem brali udział. Maszerowali koło nas. Widziałem brodatych oficerów. Prawdopodobnie Piasecki był wśród nich. Nie wiedziałem który. Zresztą to nie mi w owym czasie nie mówiło. W każdym razie wojsko było dobrze umundurowane, jednolicie, po polsku, dobrze uzbrojone. Jak się okazało byli oni przed nami w pierwszej linii przy zdobywaniu Wilna. Nasza kompania, właściwie cały batalion nie zdążył pod Wilno i tylko brały udział w tej akcji dwie kompanie. Wśród nich ta moja trzecia, której dowódcą był porucznik Licho. Brała ona udział w zdobywaniu Wilna w drugiej linii. Przed nami było UBKA co zdobywało, miało wejść pierwsze a my za nimi w drugiej linii. Zdobywanie Wilna też jest dobrze opisane w historii. Ta operacja wileńska z brygadą Kubryka jest chyba źródłowa. Cóż ja mogę z własnych wrażeń dopowiedzieć. Po pierwszym entuzjazmie, kiedy UBKA zdobyła jakiś bunkier. Straszny wrzask takiej radości, bo to wszystko odbywało się w straszliwej strzelaninie. Z rana nastąpiła kanonada artyleryjska. Myśmy w ogniu artyleryjskim nie byli ostrzelani. Pociski rwały się nie wiadomo skąd. Było to wrażenie dosyć niesamowite. Następnie samoloty zupełnie bezkarnie. Samoloty niemieckie latały bardzo nisko i prały ogniem do tych partyzantów. Oczywiście byliśmy w tryalierze. Mało szkód narobiły, ale wrażenie straszne. Las ię palił. Nigdy nie było tak blisko pożaru

lasu kiedy paliło się poszycie i całą górną część wielkich sosen. I taki ciąg powietrza i taki huk, że już nawet nie było słychać ani artylerii ani samolotów. Jednym słowem takie małe piekło się zrobiło, a walka była zupełnie inna od partyzanckiej. Właściwie to pierwszy raz brałem udział, jeżeli to w oóle można nazwać regularną walką. Bo dotychczas to były tylko takie wypadki, napady, wysadzanie torów, zaminowywanie <sup>W</sup> jakiś miejscowości, rozbijanie jakiś małych oddziałów. No a tu było właściwie coś takiego, taka próbka liniowej walki. Oczywiście <sup>Z</sup> tego wszystkiego, jak wiadomo, nie wyjdziemy zwycięsko. Przypędził do nas rozkaz wycofania się. I wtedy zaczęliśmy się wycofywać. Szczęśliwie, w porządku, bo jednak na tyle byliśmy wyszkoleni, że mimo ognia, mimo tego wszystkiego, nasz dowódca kompanii, były trzy <sup>Y</sup> plutony, którego myśmy się trzymali, wycofał się. Nastąpiły dni bardzo specyficzne. Mianowicie, przyjdzie w dzień lub dwa dni potem, Czerwonej Armii, która tenatak kontynuowała. Oczywiście nie zdążyła aby nas wesprzeć. Nasz atak nie był wspierany ani artylerią, ani samolotami - niczym. Dopiero dzień lub dwa później nastąpił atak Armii Czerwonej, który trwał dość długo i był skuteczny. Ja nie opowiadam o całej tej historii, bo ja ją znam jedynie tylko z literatury, a ja mówię tylko o tym co widziałem. Wobec tego wycofaliśmy się do takiej wsi, gdzie było głodno ale tymnie mniej dyscyplina była duża. Myśmy właściwie oczekiwali na wejście do Wilna. Taka atmosfera panowała. Tym bardziej, że wchodząca armia radziecka była bardzo przyjaźnie do nas ustosunkowana. Salutowali. Myśmy im też salutowali. Mówili: "Towariszczi - sojuszniki" i myśmy im <sup>a</sup> odpowiedzieli też przyjaźnie uważając, że jesteśmy sprzymierzeńcami, którzy to Wilno razem zajmą. Troszkę nas zaczęło intrygować, że Wilno zostało po paru dniach zajęte, a myśmy ciągle nie wchodzili do tego miasta. Wyobrażaliśmy sobie, że wejdziemy do miasta razem ze sprzymierzeńcami, a wiedzieliśmy, że w



mieście są nasi koledzy, wewnątrz miasta. Wiedzieliśmy, że miasto jest obstawione z róż<sup>y</sup>nych stron. Nie zdawaliśmy sobie po prostu sprawy z całości ani z siły Niemców, którzy byli w Wilnie. Wydaje mi się, że wywiad także nie bardzo zdawał sobie sprawę - jakoś to dla mnie jest do tej pory dziwne. Tak jakoś ta akcja była nieskoordynowana. Wiele oddziałów się spóźniło. Wszystko to było przyspieszone. Jak wiadomo z historii. W każdym razie czekaliśmy w tej wiosce na to co będzie. Po jakimś tygodniu dobrych stosunków, ale bardzo głodnego bytowania. Taka ilość wojska była pod Wilnem, partyzantów radzieckich i to wszystko było głodne niesamowicie. Nastąpiła rzecz wiadoma - aresztowanie Wilka, aresztowanie dowódctwa i w tym dniu, kiedy aresztowano oficerów zebranych na zbiórce aż porucznik Licho, który nie był na zbiórce wszedł do historii między innymi z tej racji, że jedynie on na odprawie z Wilkiem pytał dwukrotnie co będzie jeżeli Armia Radziecka nie uważa nas za sprzymierzeńców. Bo Wilk twierdził, że to będzie tak. Więc on na odprawie oficerów dwukrotnie pytał Wilka o to. Po drugim pytaniu dostał komendę: "Wstąpić do szeregu" a było to po odprawie oficerów. I on nam o tym mówił, ten porucznik Licho, porucznik Szabunia. I on na tę odprawę oficerów, nie wiem czy nie poszedł, czy nie musiał iść, w każdym razie nie był. Wobec tego nas wieść o tym, że oficerowie zostali aresztowani, Wilk też. Właściwie wyprowadzał do Puszczy Rudnickiej, żeby tam się skoncentrować i zdecydować co dalej robić. Czy mamy wycofywać się do Warszawy, na oścież stoilicy. Czy mamy wycofywać się na Zachód. Czy też mamy pozostać tutaj i czekać na zmiłowanie? Czy rozformować się w ogóle? To był właściwie dylemat - co robić? Na razie wycofywaliśmy się do Puszczy Rudnickiej. Wycofywanie się było bardzo dziwne. Dlatego, że nas otaczały wojska radzieckie, ale otaczały nas bardzo dobrotliwie. To znaczy przypominam sobie taki moment. Szliśmy taką kolumną nardzową, a więc po dwóch z ubezpieczeniem, brzegiem szosy. A szosą jechały radzieckie amfibie z żołnierzami, którzy trzymali skierowane w na-

szą stronę automaty. . To były takie opancerzone wozy - amfibie, odkryte. I tak kolumna jechała w nas, a myśmy już bez żadnego słowa, bo ani oni z nami ani my z nimi nie chcieliśmy rozmawiać i szliśmy tak szosą w kierunku Puszczy Rudnickiej. Potem gdzieś odбилиśmy na bok i rozstaliśmy się z nimi. Trafiliśmy w takie zgrupowanie w Puszczy Rudnickiej, gdzie kontrolę nad nami wszystkimi miał major Otmicz, później Kalenkiewicz, którego wtedy widziałem po raz pierwszy. Jak była taka sytuacja, że poczuliśmy się otoczeni przez te - jak się mówiło - czołgi, a potem okazało się, że nie były to czołgi tylko opancerzone amfibie, ale w każdym razie pojazdy opancerzone, Dla nas partyzantów były to czołgi. Myśmy żadnej broni przeciwczołgowej nie mieli - było parę rusznic przeciwpancernych, były granaty przeciwpancerne, takie wielkie. Ale tego było bardzo mało i nie stanowiło to żadnego uzbrojenia, przynajmniej w naszej kompanii. I tak trafiliśmy na linię, gdzie dalej iść nie mogliśmy bo była linia czołgów. Wystąpił wtedy major Kotwicz - jak przypominam sobie - bez ręki. Bo poprzednio stracił ją, z pistoletem w dłoni wyskoczył i powiedział, żeby poszli won. Nieparlamentarnymi słowami. Oni nie bardzo ustąpili. Strzałów nie było, bo właściwie sytuacja była przedziwna. Myśmy uważali ich za sprzymierzeńców - bądź co bądź w walce z Niemcami. Zresztą był wyraźny rozkaz kiedyś jeszcze: "Nie zaczepiajcie Armii Radzieckiej, ani partyzantki czerwonej. Omijajcie się". Nie mieliśmy żadnych rozkazów ani chęci agresji. My chcieliśmy tylko wyjść z tego wszystkiego. I w rezultacie mieliśmy tak właśnie wychodzić: z taborami, z końmi, przez błota, przez rzekę. Zaczęło się, że tak powiem, straszne wycofywanie się przez błota Puszczy Rudnickiej. W efekcie czego nasi żołnierze się rozproszyli i w rezultacie została kadra podoficerska z oficerem Licho, dowódcą naszej kompanii i z bardzo niewielu żołnierzami, których udało się utrzymać. Właściwie to oddział się rozproszył. Każdy przebiegał się do swoich placówek, jak tylko mógł.

Nie mogliśmy wyjść w zwartym szyku, ale byliśmy na tyle zgrani, że wycofaliśmy się w grupie, z uzbrojeniem w mundurach razem z dowódcą naszej kompanii porucznikiem Lichwą, który nas szkolił, był dobrym partyzantem i z nim, z bronią wycofaliśmy się na tereny, gdzie rozdzieliliśmy się do chałup chłopskich. Ja nawiasem mówiąc trafiłem do jakiejś stodoły, pod torp, to znaczy pod zwałowane zboże, z porucznikiem Licho, bo miał mnie za kompana. Byliśmy we dwóch w tym pomieszczeniu - ja z dowódcą kompanii miałem zaszczyt. Mieliśmy aparat radiowy i przez cały sierpień słuchaliśmy: "Zdymem pożarów, z kurzeniem krwi bratniej" i z powstania warszawskiego - w nastroju minowowym. Właściwie czekając czort wie na co. Aż właściwie front przyjdzie. A front przychodził bardzo wolno. Bo przede wszystkim ciągnęły rozbite oddziały niemieckie miesiącami. Jeszcze w sierpniu, na początku września jeszcze wycofywały się takie oddziały niemieckie, właściwie już nie bojowo tylko w taki jakiś sposób zrezygnowany. Ale często z zardzewiałą bronią. Często z bronią z pozatykanymi papierem lufami. Oni wymykali się. Szli na Zachód. Nam się potem zrobiło strasznie nudno. Dlatego, że proszę sobie wyobrazić, młodym ludziom przyzwyczajonym do ruchu, to myśmy właściwie mogli jedynie w nocy wyprostować kości pod tymi "torpami" ze zbożem. A Kotwicz był ze swoim oddziałem i dał nam znać, że działa "Kotwica" - myśmy wiedzieli że to Kotwicz jest "Kotwicą", że on obejmuje dowództwo 77 Pułku i taki rozkaz powielany, na piśmie do nas doszedł. To nas bardzo podbudowało, że jednak ktoś jest, że to coś się jednak jeszcze uratowało.

- To on wtedy został dowódcą okręgu? Czy wcześniej?

- Chyba on wtedy został dowódcą okręgu. Został dowódcą tego 77 pułku i był chyba dowódcą okręgu. To już było, jak wiem z historii, podporządkowanie okręgu nowogródzkiego wileńskiemu. Wilk był dowódcą.

- Co po jego aresztowaniu?

- Co się działo po aresztowaniu to ja naprawdę nie wiem. Ja byłem podoficerem, podchorążym. Ale ja naprawdę nie byłem w tych rzeczach zorientowany. Ja dopierow ~~wiele~~ rzeczy po wojnie z ciekawością wyczytywałem.. Wiele razy wymienialiśmy ~~te~~ wrażenia z ~~krągami~~ kolegami i dochodziliśmy do tego ~~yaka~~ jak to właściwie było. Przecież my byliśmy z lasu. Tak naprawdę to my niczego nie wiedzieliśmy o dowódcach. To była ~~konspiracja~~ konspiracja. Tak że myśmy się nie orientowali kto jest ? Jaka jest gradacja ? Znam ~~psedonimy~~ <sup>y</sup> pseudonimy tych dowódców powyżej dowódcy batalionu. Borsuka widziałem i tych innych z Nowogródziny, z okręgu nowogrodzkiego, ale to było gdzieś tam daleko, od strony takiego jakiegoś prostego żołnierza to te sprawy były zupełnie nieistotne, czy powiedzmy nie wiedziano o tym dużo. Wielka beznadziejność była i właściwie degrengolada. Po jakimś czasie stwierdziliśmy, że takie wegetowanie pod "torpami" zboża, w stodołach. Właściwie utyliśmy bo karmiono nas bardzo dobrze. Nie ma sensu, nie możemy tych ludzi obciążać swoją obecnością. Skazywać ich na wyżywienie nas. Wobec tego mieliśmy dosyć broni, mieliśmy mundury. Wyciągnęliśmy to wszystko z ukrycia i korzystając z siatki, którą ponieważ nie została rozbita, ~~xx~~ zaczęliśmy chodzić po wsiach, po tych właśnie, gdzie była ta nasza siatka, przeprowadzani przyjmowani bardzo dobrze, jako taki oddział partyzancki, właściwie nie zorganizowany, nie w formie AK, które zostało rozwiązane. Ale właśnie w tym jednym celu - aby się przechować, przetrwać.

- AK było znacznie później rozwiązane.

- Tak, ale w naszym pojęciu to wszystko się rozpadło. Doszła do nas kiedyś taka ulotka na powielaczu napisana, podpisana przez Kotwicę, że obejmuje dowódctwo nad tym wszystkim. Wiedzieliśmy kto to jest Kotwica. Kotwica podpisał, a to był Kotwicz. Myśmy od razu ~~wiedzieli~~ wiedzieli, że to Kotwicz podpisuje. Ale on podpisał jako "K<sub>o</sub>twica", że to niby właściwie się zmienia. Ale nie mniej jednak on obejmuje dowódctwo nad tym wszystkim, W tym czasie zmieniliśmy

pseudonimy. Zaczeliśmy się inaczej nazywać. Jednym celem - jak mówię - naszego chodzenia było przetrwanie. Czasami zdarzyło się jakiś Niemców rozbroić, którzy wracali. Czasami to było nawet drastyczne. Właściwie ~~starali~~ ~~się~~ ~~Armi~~ ~~Radzieckiej~~ ~~nie~~ ~~zaczepiać~~. Ale oni zaczęli formować takie oddziały, przyszedł front i oddziały takie, które nazywały się "Smersh", które nie tylko NKWD i KGB ale właśnie te oddziały zaczęły ścigać ludzi. Stwierdziliśmy, że w okropnie dużym stopniu obciążamy tę ludność, te nasze placówki, tych naszych ludzi. Wobec tego zaczęliśmy chować się do lasu. Weszliśmy do Puszczy Rudnickiej. Zrobiliśmy tam bunkier, taki pod ziemią, zupełnie zakonspirowany. Wykopaliśmy sobie taki bunkier. Nawiasem mówiąc stojąc sobie na warcie przy tym bunkrze, kiedy koledzy sobie spali słyszałem wycie wilków i to tak blisko - wilki gryzły się wyły - proszę sobie wyobrazić, że pomimo uzbrojenia w takiej ciszy leśnej, w głębi lasu, to ten wilczy jazgot, to wycie jest takie jakieś prymitywne, że aż ciarki przechodzą, mimo, że człowiek się nie boi, bo się nie ma czego bać. Ale jest coś tak prymitywnego w tych wilczych skowytach, gryzieniu się, wyciu, coś takiego czego się normalnie nie przeżywa. Potem weszliśmy na te stanowiska, które kiedyś zajmowała czerwona partyzantka. Właściwie nie chcieliśmy narażać ludzi na represje, ale tylko się przechować. Ale to przechowywanie się było beznadziejne. Jak napadał pierwszy śnieg w 1944 roku, późną jesienią któregoś dnia jak wyszliśmy zobaczyliśmy że są ślady i że można nas bardzo łatwo dopaść. To nas ogromnie zdesperowało, zdeprymowało. Właściwie postanowiliśmy, że nie ma szans na przetrwanie, tym bardziej że to już nie było takie ukrywanie się przy władzach radzieckich. To było zupełnie coś innego niż przy władzach niemieckich. Przy Niemcach mieliśmy całe tereny z administracją polską, z AK. To w ogóle była Rzeczpospolita. Tylko szosy były opanowane przez Niemców i różne punkty. Natomiast tutaj nigdy nie można było się spodziewać spod jakiego krzaka wyjdzie jakiś "bojec" czy jakaś formacja, która później nazywała się

"Zieloni", którzy mówili że nie są "czerwoni" ani "biali" tylko "zieloni". Nie wiadomo co. To prawdopodobnie była "śmierć". Tak że to wszystko się zagęszczało. Sytuacja robiła się bardzo trudna do przetrwania. Trzeba powiedzieć, że żołnierz radziecki, to jest faktem, który może spać pod każdym krzakiem, czy przejść przez każde błoto, może wyjść o każdej porze dnia. Nie mają godzin na jedzenie na golenie się i tak dalej. . Do tego myśmy byli przyzwyczajeni w partyzance z Niemcami. To jest zupełnie inna sprawa. Ja troszkę tego liznałem. W każdym razie ja tylko osobiście do pierwszego śniegu..Bo zdecydowaliśmy, że jednak wracamy na placówki. Wróciliśmy na placówki. Ja znalazłem się ponieważ moi rodzice przenieśli się do Jaszun. To był właściwie taki majątek historyczny z pięknym pałacem gdzie była kiedyś Lidka Śniadecka, gdzie Słowacki przyjeżdżał i Mickiewicz bywał. To był taki znany ośrodek kulturalny. No i było miasteczko Jaszunia, w którym był tartak. Ojciec mój niestety mieszkał tam bo zajmował się jakąś administracją albo coś takiego, ale mieszkał w czworakach. Wtedy wyrobili mnie pracę w tartaku w Jaszunach i zacząłem pracować jako robotnik przy noszeniu desek. Moja siostra też tam pracowała. Nazywała się "sztagielszczyca". Układała sztaple z desek. Okazało się, że wiele młodzieży się tam zadekowało. Wszyscy szukali jakiejś legalnej pracy. Moja praca tam trwała niedługo, bardzo krótko. Dlatego, że 2 stycznia 1945 roku, zaraz po Nowym Roku, który żeśmy u rodziców na głodno spędzili. Pamiętam, że po wigilii, takiej smutnej wigilii, takiej wojennej. Rodzice zdobyli gdzieś puszkę świnnej tuszanki. Ja z kuzynem wpakowaliśmy całą. Byliśmy w głodniaki. Uważaliśmy że Boże Narodzenie jest czymś takim, żeby nie być głodnym. W każdym razie nie bardzo pasowała ta świnna tuszonka, czyli konserwa amerykańska z rosyjskim napisem do Wigilii, ale do Bożego Narodzenia pasowała.

W tym tartaku pracowałem dosłownie parę tygodni, chodząc bardzo wcześnie z rana, bo proszę pamiętać, że chodziło się na godzinę 6,

czasu moskiewskiego, to jest na 4 rano. Więc szło się w nocy do tartaku, wracało się w nocy. Cały dzień się ~~pracowało~~<sup>pracało</sup> fizycznie co nie było dla mnie ~~dla mnie~~ straszne. Bo w tym czasie ja już byłem absolutnie zaprawiony do wszystkiego. Tak że to nie stanowiło dla mnie nic nowego. No ~~ix~~ i tak myśleliśmy, że jakoś przetrwamy. Tymczasem 2-go stycznia tartak został otoczony przez wojsko i w tartaku powiało grozą. Co robić? Były dwie możliwości. Albo nic nie robić albo schować się. Największe prawdopodobieństwo było schowanie się do traku, które były zasypane. Miałem wielką ochotę schować się w trocinach, zasypać tymi trocinami i schować się. Ale potem jak wyobraziłem sobie taki bagnet rosyjski, taki długi widelec i pomyślałem sobie, że ja będę narażony na to, że mnie będą tym bagnetem dzgali. A po za tym, że jak ja wtedy wyjdę, że mnie znajdą i wyjdę już jako winny czegoś. No to po naradzie, zresztą z siostrą - występujemy. Po otoczeniu przez wojsko całego tartaku. Kazali ~~ix~~ wszystkim tam przebywającym ustawić się w szeregu. Staliśmy w tym szeregu. Szedł taki oficer, który palcem pokazywał: ty, ty, ty i ty. I trzeba było wystąpić. Na mnie też pokazał - wystąpiłem. Okazało się, że tych których wybrał, a wybierał z nosa, z wyglądu - jak kto wyglądał, jakimś górnym węchem. To tych wszystkich otoczyli, wyprowadzili z tartaku, wsadzili nas na noc do aresztu, w którym można było jeszcze szczęśliwie rodzicom, którzy przynieśli kożuch, miałem taki duży, który mnie potem pewnie życie uratował i jakieś jedzenie, jakieś coś - czy bieliznę na zmianę. Bo wiadomo było, że to już nie przelewki. Zresztą <sup>nieomalizny</sup> nie w ogóle dlatego znaleźliśmy się w areszcie, dlatego zostaliśmy zabrani. Ale w ciągu tej nocy <sup>to</sup> można było jeszcze donieść. Wobec tego krótki kożuszek oddałem. Długi kożuch wziąłem. Miałem już wtedy trochę jedzenia. Jakaś dziewczyna przyniosła mi tytoń, taki bambuch - przypominam sobie. W ogóle to ludność była przerażona. Starła się nam

pomóc, ale byliśmy odizolowani, otoczeni. Potem, w następną noc byliśmy pieszko, w śnieg straszliwie padający, szliśmy z Olecznik do Wilna, co jest mniej więcej 20 kilometrów. Z tym, że otoczeni przez "bojców" z bagnetami, z psami. Czuliśmy się już takimi więźniami, tym bardziej, że wszelkie kontakty z tymi "bojcami", którym mówiliśmy, że chcemy wody. Oni od razu odszczekiwali, że kakoj ja tebją towarzyszez. Że już nie jesteśmy towarzysze. W ogóle to już ni nie jesdśmy ludźmi. Dawano nam poznać, że z nami żadnego kontaktu nie ma. To trwało zresztą później przez cały czas. Aż do końca. Aż wróciłem później do Polski. W tym konwoju zostaliśmy zaprowadzeni prosto do więzienia na Łukiszkach, w Wilnie. ~~Takimix~~ Taki marsz odbywał się piątkami - bo to było łatwo liczyć.. To w takim zwartym marszu jedni zostawali, drudzy nie. Śnieg - to wszystko. Takie przejście do więzienia zaczęło się od tego, że strasznie dużo czekania. Od takiej instytucji, której nigdy przedtem nie widziałem, a która nazywa się "woszuprutką" co po polsku znaczy "odwszanie", to znaczy przeszparówkę odzieży. . To znaczy: rozebrać się do naga. Związać całą odzież na drut, na takie kółko druciane, a samemu pójść do łaźni nago. Była tam woda i można było się umyć. W tym czasie związane na kółkach ubrania były przez obsługę, przez więźniów dawane do takiej komoty, gdzie były parowane w wysokiej temperaturze. Niby wszy miały obowiązek zginąć. A potem już człowiek umyty przechodził do takiego pomieszczenia, gdzie ci wyrzucali widłami te ubrania niby odwszone, z gorącymi drutami, które paliły ciało. Bo oni rzucali tak na wszystkich z drutami, które były tak rozgrzane, że to parzyło jak padło na gołe ciało. Mówię o tym dlatego, że na Okiszkach pierwszy raz się z tym spotkałem. A potem w czasie swojego pobytu przechodziłem to wielokrotnie - te odwszanie, które dawały na parę dni ulgę od wszy, ale tylko na parę dni. Potem zostaliśmy wpakowani p~~o~~ jakiś tym formalnościami, których



także nie pamiętam. Na odebraniu jakiś ~~dziesięć~~ dokumentów po jakimś zapisaniu. Potem musieliśmy nauczyć się tego, że tam mówili: Nazwisko. Trzeba było jeszcze powiedzieć imię i otęczestwo. W ten sposób było się identyfikowanym. Żeby cała procedura była bardzo skomplikowana. Trzeba było się tego uczyć. I trafiłem na te Łukiszki, gdzie byłem przez dwa miesiące, właściwie czekając na badania. Właściwie panowała tam atmosfera grozy. Wszyscy oczekiwali, że będą badani, że będą torturowani. Chodziły straszne wieści, że tam się drzazgi pod paznokcie wbija, że tam się bije, że tam się torturuje. Chcieliśmy właściwie dowiedzieć sami nie wiedzieliśmy czego. Wszyscy podejrzewali, że właśnie za działalność w A.K. Okazało się że to właśnie AK właśnie jest takie niedobre. Te całe dwa miesiące których dużą część spędziłem w pojedynczej celi, w której było łóżko i stolik i było tam 20 osób. To było coś niewyobrażalnego. Dlatego, że na łóżku siedziałem przez cały dzień, całą noc przez wiele tygodni, iluś tam ludzi i na podłodze leżało iluś tam ludzi. Ale nikt nie mógł się położyć, żeby nikt na kimś nie leżał. Ja przypominam sobie, że zająłem na prawo od drzwi, taki stolik, który był rozkładany i który można było do ściany złożyć. Był z taką podpórką i ja nim siedziałem parę tygodni, podkładając kożuch i na tym siedziałem parę tygodni. Podkładając kożuch i na tym siedziałem w dzień i w nocy, spałem - wszystko że tak ~~powiem~~ powiem. Na przeciw mnie za drzwami była "parasza" to znaczy taki baniak z odchodami, który najczęściej przelewał się. Kibel inaczej. Który był po pewien czas wynoszony. Jak już przelewał się, stukali do drzwi, ale to za jakiś czas ktoś przychodził. Po prostu smród niesamowity. Wyobrażam sobie, że jakby normalny człowiek wszedł do takiej celi to ~~by~~ by jak mucha od tego smrodu, który tam panował. Proszę sobie sobie wyobrazić - ludzie chwyceni w pracy, w różnych kożuchach, mokrych po przejściu po tym <sup>ty</sup>nięgu. Oczywiście wszy straszne. Jedynym pożytecznym zajęciem było wyjmowanie koszul i łupienie tych wszy. To

było takie zajęcie uspokajające ~~na~~ w dzień. Natomiast ~~w~~ nocy nigdy nie było spokoju, dlatego że zwykle w nocy dawali pożywienie. To znaczy otwierali się maleńkie dzwiczki w dużych drzwiach i przez to dawali tak zwane pajki chleba. Te pajki chleba to były takie odważane, chyba było 40 gramów chleba na cały dzień. Było to odważane bardzo skrupulatnie przez więźniów z tak zwanymi dodatkami. Jeżeli coś brakowało to na takim kołeczku była wpięta dodatkowa. I w nocy jak to jeden drugiemu podawał, to kawałek chleba bez tej dodatkowej tylko patyczkiem. Bo to gdzieś po drodze ginęło. A po pewnym czasie jak się skończyły własne zapasy - tam się miało troszkę słoniny, coś tam jeszcze. To okazało się, że jest się straszliwie głodnym, że te ilości chleba i ta podchlupka tak zwana bryja, którą dawali, czasami jeszcze jakieś krupki pływały, obierzyny od zieminaków ale już zupełnie bez tego mięszu. To taka ciemna woda, która była ciepła lub gorąca. To było dawane i ten chleb i nic więcej. Po pewnym czasie tak głodno się zrobiło, że ten głód dominował nad wszystkim. Wszy, głód i ciasnota. To są te rzeczy które pamiętam z celi. Na początku było cicho. Wszyscy byli przejęci, a potem zaczęły się opowiadania. Im głodniej tym więcej było opowiadań co kto jadł, jakie to rzeczy jedli. Ludzie ze wsi opowiadali o blinach, które pływały w tłuszczu, o jajecznicach. A już, który jadł co innego to jeszcze inne rzeczy opowiadał. Rzecz zdaje się charakterystyczna. Zawsze gadki były na temat tego co się jadło będąc głodnym. Potem przeniesiono mnie do celi czterdziestoosobowej. Właściwie nie była to cela tylko jakieś pomieszczenie z podłogą, ale nic więcej nie było tylko podłoga drewniana i było 40 osób. Było straszliwie ciasno. Leżałem na podłodze w tej celi jak i w drugiej spotkałem naszego sąsiada, właśnie stamtąd z Bijeakon, starszego pana, oficera rezerwy z przed wojny. Był on bardzo zaprzyjaźniony z moją rodziną, z którym przypadkowo się tam spotkałem. W każdym razie mia-

łem tam już znajomego. On potem mieszkał w Warszawie, na Saskiej Kępie - znał już dawno. Ale był razem ze mną w Donbasie. On ogromnie bał się tego, że jako urodzony gdzieś na Syberii, bardzo daleko że jak go wywożą to czy on wróci. Toteż jak się tylko zorientował że oni o nim wiedzą, zaczął, podawać, że urodził się w Warszawie.

Pobyt w więzieniu na Łukiszkach, który trwał w sumie dwa miesiące był uciążliwy z racji warunków bytowania to znaczy brudu, braku możliwości mycia się, do tego, że są worszoprutki byliśmy dwukrotnie przekonani w ciągu tego czasu.

- Chciałbym się spytać. Czy nie była to woszobojka. Bo z taką nazwą się spotkałem.

- U nas to się mówiło worszoprutka. Ale czytałem w literaturze że nazywano to woszobojką. Tak więc wszy, bród, głód i strach przed badaniami były dominującymi w czasie dwumiesięcznego pobytu. Ciasnota. Przez ten czas słyszało się nieśmiałe opowiadania ludzi, którzy przeważnie byli ze wsi. Tam ich zabrano. Były to takie nie nie znaczące opowieści. Trudno było się zastanawiać kto kim jest i dlaczego jest wzięty. I o co właściwie tam chodzi. Po dwóch miesiącach, było to już w końcu lutego zaczęły krążyć wieści, że będą nas wywozić. O tyle było to dobre, że mnie to osobiście nie dotyczyło, mnie osobiście nie badano. Więc niektórzy ludzie, którzy chodzili gdzieś tam na te badania i straszeni byli podczas badań pejczami i chcieliśmy wydobyć od nich jakieś rzeczy z konspiracji, z A.K. Mnie to nie dotyczyło. Wobec tego zaczęłam się przygotowywać do wyjazdu. Zdobytym skraweczkiem ołoweczka, przypominam sobie, że na jakiejś kartce, jakiejś okładki od zeszytu, gdzie narysowałem szachownicę i gdzie graliśmy szachami ulepionymi, właściwie oszczędnie z chleba. Bo czas trzeba było zabijać, a chleba szkoda. No to to zużyłem do napędzania kartek adresowanych na adres w Wilnie, gdzie jak wiedziałem będą moi rodzice. I pisałem tylko jedno zdanie: " Wywożą bez badania". Uważałem że jest to najważniejsza informacja jaką mogę dać

rodzicom, że bez badania. Bowiem groza tego badania była powszechna. Wobec tego to była najważniejsza informacja, że wywożą i że bez badania. Myślę sobie - to przynajmniej rodziców uspokoi. Takich kartek przygotowałem chyba z pięć. Faktycznie, po którejś tam ostatecznej "woszoprutce" zostaliśmy którejś tam nocy - tam się wszystko nocą odbywało - ustawieni piątkami. Długie czekanie. Potem przy oczekaniu psów, całą tą obstawą prowadzono nas ulicami Wilna na dworzec kolejowy. Ja przy swoim gimnazjum na Górze Bufalowej, gdzie było niedaleko do mieszkania stryjostwa przy Alei Róż, wyrzuciłem te kartki. <sup>z</sup>resztą wyrzucałem je <sup>e</sup>pod drodze. Ale tu wyrzuciłem ze specjalną myślą, że ona dojdzie. Proszę sobie wyobrazić, że jedna z tych kartek doszła do moich rodziców i nawet mam ją gdzieś w archiwum. Matka wsadziła ją za jakąś fotografię i ta oryginalna kartka jest. To faktycznie uspokoiło moich rodziców. O ile wywózka w ogóle mogła uspokoić.

Teraz samo ładowanie na Dworcu Wileńskim. Doprowadzono nas ~~na~~ na jakiś peron. Kazano piątkami siadać na peronie. Byliśmy otoczeni przez tych żołnierzy "bojcow", z tymi bagnetami. Wagony stały i zaczęli odliczać. Do tych wagonów towarowych z otwartymi jednymi drzwiami. Po czterdziestu do wagonu. Po odliczeniu jak przy<sup>szła</sup> na mnie kolej <sup>te</sup>został też wrzucony do tego wagonu. Ciemno i ciasno było. Miałem dobry kożuch. Ludzie zaczęli się sortować, bo różni byli w różnych ubraniach. I ja z racji tego dobrego kożucha trafiłem w róg wagonu. Przy ścianie w rogu wagonu było moje miejsce. Na lewo były drzwi, potem była wycięta dziura, jako miejsce do załatwiania się, które zawsze było oblodzone i przy tym było dużo nieczystości. Dziękowałem Bogu, że mnie przy tym nie wypadło miejsce. Pośrodku wagonu był <sup>z</sup>ważny piecyk z kominem na zewnątrz. Po odliczeniu <sup>do</sup> tego wagonu zamknięto drzwi. Zadrutowano z tamtej strony i znaleźliśmy się w wagonie, który stał ileś tam na tej stacji. Było wielkie

naszczekiwanie, było bieganie po torach, było stukanie od spodu. Po jakimś czasie ten wrzask ustał. Jak to długo trwało - trudno mi powiedzieć. Pociąg ruszył i zaczęliśmy jechać. Jechaliśmy bardzo długo. Mijały dni. Co jakiś czas otwierano drzwi wielkim młotem. Dawano wiadro wody i dawano chleb, którego zawsze było za mało a wody do picia też zawsze ~~z~~ mało. Ponieważ był siarczysty mróz a pod koniec, po podróż trwała dwa tygodnie - potem ludzie byli już tacy głodni, tak wyczerpani, że właściwie jedynym ratunkiem było zwilżanie warg zeszkrobanych szronem z drzwi wagonu, z wewnątrz. Bo drzwi wewnątrz wagonu były oszronione - białe. Wobec tego zeszkrobywało się ten szron i zwilżało usta. Zawsze było głodno. A ja byłem w tym rogu wagonu. Mnie właściwie ten kożuch zmarzł w taki kant, zupełnie był zmarznięty, twardy i miałem na ramieniu taki odtłoczony kant zmarzniętego kożucha. Było nas wielu. Z jednej strony było ciepło ale z drugiej miałem mróz. Ale ja przeszedłem partyzantkę, ja spałem na śniegu. Spałem w bunkrach. Mnie to specjalnie tak nie rozczuślało. Najważniejsze że jechałem, że byłem zdrowy, żywy i miałem nawet małą szparę w tych deskach i patrzyłem. Nigdy nie specjalnie ciekawego nie widziałem ale raz zobaczyłem nazwę "Sumy". Staliśmy na jakiejś stacji i nagle zobaczyłem "Sumy". Myślałem sobie, gdzie to jest? Że pewnie jesteśmy już w Azji, bo jazda trwała już, liczyliśmy dni, kilkanaście dni, powyżej dziesięciu. Myślimy sobie, że pewnie w Azji jesteśmy. Kierunek w którym jechaliśmy to poznawaliśmy z tego, że ci "bajcy" prowadząc nas i wsadzając do wagonów mówili: "Macie szczęście. wyjeżdżajecie na ług". No, myślę sobie co to za szczęście jechać na południe. Ale fakt jedziemy na południe. Więc, wobec tego po tych dziesięciu lub więcej dniach jazdy: Gdzie my jesteśmy? I tak żałowałem, że nie wiem z geografii gdzie te "Szumy" leżą. No oczywiście jest to miasto przed Charkowem. Teraz to ja dobrze wiem, ale wtedy nie wiedziałem. Zdawało mi się, że to Azja. Po tej głodnej jeździe, która była straszna. Głodno, chłodem

i bez żadnej możliwości umycia się. Tak że wszy się rozmnożyły i w ilościach niesamowitych. Moja żona mówi, że ja w pamiętnikach czasami na każdej stronie pisałem o wszach. Ale naprawdę one dominowały. Straszne uczucie dla nieprzyzwyczajonych. Ale można się do nich przyzwyczaić. Zatrzymano nas i zaczęto wysadzać. Dowiedzieliśmy się że las gdzie nas wysadzono nazywa się Stalino. Mnie nic to nie mówiło z geografii. Tylko że zobaczyłem takie kopce węglowe. Kopce, że to jest okręg kopalni. Zorientowałem się, że to są kopalnie. Dowiedziałem się, że jest to Zagłębie Donieckie. Później dowiedziałem się, że Stalino to dawna nazwa carskiej Muzówki, obecnie nazywa się Donieck. To miasto w owym czasie nazywało się Stalino. Był to okręg węglowy. Tereny opuszczone przez Niemców, straszliwie zniszczone, zbombardowane. Gdzie nas przywieziono. Tak jak i innych później. Okazało się, że wsadzono nas do takiego łagru, który był otoczony drutami i na rogatkach były wieżyczki tak zwane "wyżki", na których stali z pepeszami żołnierze pilnujący nas. Natomiast wewnątrz tych łagrów były właściwie ruiny. Ruiny jakiś baraków budowanych z cegły, w których dopiero trzeba było się zagospodarowywać. Były to pomieszczenia właściwie bez podłóg. Tylko ściany i jakieś prowizoryczne zadaszanie. W tym wszystkim urządzałem się. Spaliłem na tym co kto miał i ~~przykrywałem~~ przykrywaliśmy się tym co kto miał. W czasie mojego całego pobytu tam, zresztą pobyt ten nie trwał tak bardzo długo, dlatego, że później przeźucono nas do innego łagru w Gołowce., które także jest miasteczkiem w Zagłębiu Donieckim, w którym właściwie przebywałem. To też jest miasto górnicze, charakterystyczne stożki, tak jak oni nazywają "porady" - czyli hałdy nadkładu węglowego. Zresztą tam są małe miąższości pokładów węgla. Bardzo dużo wydobywało się kamienia, czarnego zresztą. I z tego usypywało się te ogromne hałdy zresztą w innym kształcie niż u nas na Śląsku. Nie wiem dlaczego one są takimi kopcami, takie piramidalne. Wyciągami jest to wciągane. W każdym razie byliśmy i w Stalinie



kiedy miałem tę pracę. Pod koniec właśnie ten kilogram chleba. Ale był taki okres, szczególnie włosną - a chcę jeszcze wrócić do tego że jak nas wyładowali z wagonów to były roztopy, które się zaczęły. Później były mrozy, ale tego dnia, kiedy nas wyładowano była odwilż, roztopy i wpakowano nas po prostu w czarne kałuże, czarne od miazgi węgla. Ludzie byli tak spragnieni, że rzucili się pod nogi, tam na miejscu, gdzie stali aby napić się wody z tych kałuż. Ja ostatkiem siły woli opanowałem się, żeby tej wody nie pić. Taką miałem straszną ochotę żeby się tej wody napić. Mnie było wszystko jedno czy jest czarna czy coś. Po prostu pragnienie jest gorsze niż głód. Wobec tego trzeba było maksimum silnej woli żeby się opanować i tej wody nie pić. Co zresztą było dla mnie zbawienne. Dlatego, że jak później okazało się, że w ciągu całego pobytu, że tak jak takim "symptodem zdrowia" było to, że jak się poszło do takiej prowizorycznej latryny i jak było krwawo, to trzy dni życia bo to była krwawa biegunka /panos/, która dawała jeszcze trzy dni życia w tamtych warunkach. Więc ja szczęśliwie na to nie chorowałem, a wielu ludzi tego krwawego panosu dostało i po prostu się wykończyli. Zresztą choroby wykańczały bardzo, bo przy tym wyćieńczeniu, przy tym głodzie, przy tych wszach, choroby panoszyły się strasznie. Była w Gorłowiec tak zwana "sancześć" to znaczy tak jakby lazaret. Tylko tym się różnił od nas, że miał podłogę i tam właśnie kiedyś poszedłem, to znaczy poznałem mojego kolegę szkolnego z Wilna Stefana Maculewicza z którym byłem przed wojną bardzo zaprzyjaźniony. Chodziliśmy do tej samej klasy. To był syn dyrektora Banku Rolnego w Wilnie. Jego starszy brat zginął w partyzantce. Jego tablica jest w kościele Świętego Bartłomieja w Gdańsku. A z tym Stefanem spotkałem się parę razy i potem dowiedziałem się, że on jest "sancześci". Poszedłem go tam odwiedzić - leżał na podłodze i powiedział mi tylko jedno: Jędrak, powiedz mamie, że ja tutaj jestem, że ja tutaj zostałem". I tak odowiedziałem go - to znaczy tak mi powiedział ostatniego



dnia - następnego dnia już go nie zastałem. I tak się ~~zakończył~~ <sup>zakończył</sup>, który był w moim wieku, silny, młody - tak się ~~wykończył~~ <sup>wykończył</sup>. Po nim dostałem troszeczkę kaszy kukurydzianej w woreczku, która mi uratowała życie jeszcze na parę dni. No i przy tej okazji poznałem Czeška Zwierza, obecnie znanego lekarza chorób tropikalnych, który jest w Gdyni, a który był wtedy łapiduchem w "sanczasti" i którego przy okazji Stefana poznałem. Czasami spotykamy się. W każdym razie warunki sanitarne były straszliwe. Choroby dziesiątkowały ludzi. Właściwie żadnej komunikacji ze światem nie było. Próbowałem pisać listy składane w taki trójkącik, jak to się tam robiło. Oczywiście bez znaczków. ~~Ziob~~ <sup>Ziob</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~k~~ <sup>k</sup> ~~i~~ <sup>i</sup> ~~s~~ <sup>s</sup> ~~z~~ <sup>z</sup> ~~o~~ <sup>o</sup> ~~b~~ <sup>b</sup> ~~y~~ <sup>y</sup> ~~w~~ <sup>w</sup> ~~a~~ <sup>a</sup> ~~j~~ <sup>j</sup> ~~a~~ <sup>a</sup>

ogromnie wycieńczony. Tym bardziej, że zaczęły mnie łupać wrzody na nogach, na zadku. To nawarstwiało się coraz bardziej. Tak, że potem jakiś lekarz, który był, powiedział, że to jest dystrofia. To już koniec pobytu. Potem wyczytałem, że później zaczynała się puchlina głodowa. Ale to było jeszcze później. A w czasie pielienia tych buraków to było słabo i głodno. Pamiętam ból krzyża ~~który~~ był taki, że nie wiadomo było czy pracować można siedząc czy leżąc. Dosłownie czołgało się pomiędzy tymi grządkami żeby je przerywać. Ale te powroty i marsze tam były przyjemne. Był także roboty innego rodzaju. Przypominam sobie - muszę jeszcze powiedzieć - że w maju była wielka strzelanina. Coś się nadzwyczajnego działo. Potem dowiedzieliśmy się, że wojna się skończyła. ALE WŁAŚCIWIE to nic nie zmieniło w naszym życiu. Absolutnie nic. Tylko tyle żeśmy się ogromnie ucieszyli, że jak wojna się skończyła to w końcu i to się skończy. W rezultacie wojna się skończyła, zwyciężyli. Niemców pobili. To było pocieszające, ale w naszych warunkach się absolutnie nic nie zmieniło. Trwało to wszystko przez lato, jesień. Ta praca była monotonna.. Albo ładowanie węgla. Chcę powiedzieć, że wtedy takie ładowanie węgla odbywało się w nocy. Dużo rzeczy się tam dzieje w nocy. Do załadowywania węgla na jakąś bocznice. Bocznica była gdzieś zupełnie w pole wyprowadzona. Dlaczego tam był węgiel - nie wiem. To była noc. Trzeba było z takiej Kupy węgla ładować wagon. Odbywało się to w ten sposób, że szło się po tak zwanych "chatkach" czyli po takiej desce nabitej szczeblami na wagon. Potem dalej przez wagon ~~prz~~rzucano się węgiel, znosiło do wagonu i wychodziło drugą deską. Jedni ładowali a drudzy nosili. Robiliśmy to zmiennie. Trzebaa było: "bystriej", "bystriej", "skorej", "skorej", popędzali nas tylko, żeby wagon załadować. Żeby wagon załadować tymi nosilkami to trzeba było się na pracować. Pracowało się właściwie przez całą noc. Ale ponieważ jedni ładowali, drudzy odpoczywali, chociaż do tej roboty pędzili. Wyniu-

chali, że tuż obok są ziemniaki. To przecież było coś nadzwyczajnego. Wobec tego zaczęliśmy w ten sposób: udając, że wszyscy bardzo pracują, pojedynczo, zwalniano poszczególnie każdego, który szedł, pełzał wśród tych wartowników w ciemną noc. W te ziemniaki i tam te ziemniaki kopał rękoma. I ja też. Przypadła na mnie kolej, wypełzłem w te ziemniaki i napchałem tych ziemniaków do kieszeni. Ale ponieważ kieszenie już wówczas nie istniały to te ziemniaki powpadały mnie do spodni i do dużych butów. Długie buty zresztą też sprzedałem. Wymieniłem je na gorsze. Więc to się trzymało. Spodnie były na łydkach obcisłe więc te ziemniaki trzymały się do kolan. Każdy chodził z sumoczką - z workiem. Do worka naładowałem te ziemniaki. Byłem strasznie <sup>aż</sup> zadowolony, że mam te ziemniaki. To ja już przez parę dni nie będę głodny. Ale skoro zrobił się świt i patrzymy na to poletko, a to jest takie małe poletko i zryte zupełnie jakby przyszyły dziki. W ogóle tam nic nie ma. Zjawił się tam taki biedny czy to kolejarz czy to kołchoznik i zaczął dosłownie płakać. I do tych naszych strażników, że mu zniczczyli te ziemniaki. Wobec tego strażnicy zrobili się groźni. A my wagon już załadowaliśmy, ustawili nas w szereg. Ja zdążyłem wyrzucić ziemniaki z tego worka ale ziemniaki te w spodniach zostały. Nie mogłem ich wyciągnąć przez te kieszenie i wyrzucić. Parę wyrzuciłem ale resztę nie. I oczywiście mnie złapali z tym wszystkim. Ale była awantura arabska. Oczywiście wrzask, krzyk i już wszyscy potem wracają jednym szeregiem a mnie pilnują osobno. Zostałem, że tak powiem, więźniem, a inni powyrzucali. Mnie jednego złapali z tymi ziemniakami. ~~Reszta~~ Reszta ziemniaków została wysypana. Oni powyrzucali a mnie, dzięki tym długim spodniom i butom, nie udało się wyjąć tych ziemniaków. I przyprowadzili mnie do łagru. Oczywiście postawili mnie przed oblicze komendanta. Był taki stół, bo widocznie był jakiś sąd. Tam długo czekałem. Nie było to tak od razu. Czekano się na to długo, zamkniętym. przypominam sobie taki długi stół. Trzech ich tam siedziało, w

w mundurach NKWD-zistów. I pytali mnie tak: "Na czto ty worował ?" Czemu ty kradłeś ? A ja sobie już umyśliłem przedtem, że nic nie będę im odpowiadał. Jedynie że byłem głodny. I nic więcej. Na żadne ich pytanie tylko: głodnyj był, bo gołodnyj był. Oni nie mogli się ze mną dogadać i w rezultacie zostałem osądzony na taki karcet. A karcerem były w warunkach łagru piwnica pod zburzonymi domami, gdzie wrzucano odpadki, śmieci, wszystkie nieczystości z obozu były tam wrzucane. Była to głęboka piwnica o wysokości powyżej 2 metrów. Z tymi śmieciami. Była widocznie opróżniana częściowo i mnie tam wrzucili. Ja się z tego śmiałem. Oczywiście było tam smrodliwie ale co mi do tego. Przesiedziałem tam, już nie pamiętam ile: 24 czy 48 godzin w tym wszystkim. Potem mnie wyciągnęli. Oczywiście byłem głodny, ale ja zawsze byłem głodny. I tak się skończyła moja przygoda z kradzeniem ziemniaków w Związku Radzieckim.

Jak już powiedziałem zostałem przywieziony do Zagłębia Donieckiego, do Stalina, które obecnie nosi nazwę Donieck. Za czasów carskich miasto tonazywało się Juzófką, jak dowiedziałem się później. W tym Stalinie byliśmy w takim łagrze, który trzeba było odbudowywać, który był zorganizowany na terenach jakiś zbombardowanych baraków. Ale po jakimś czasie przeniesiono mnie wraz z innymi do miasta Gorłowki, które również leży w okręgu donieckim i tam w obozie, w takim łagrze, również na terenie przykopalnianym na zburzonych domach czy barakach musieliśmy sobie zorganizować ten nasz pobyt. Były to gruzy w których trzeba było uprzątnąć miejsce do spania, zrobić jakieś zadaszanie, jakiś sufit, dach. Właściwie podczas całego mojego pobytu nigdy nie spałem na żadnych pryczach, na żadnych deskach, zawsze na podłodze. Przykrywałem się tym co się miało. Szczęśliwie miałem kożuch, który służył mi za posłanie, za przykrycie przez cały czas mojego pobytu. Właściwie dzięki temu kożuchowi przetrwałem transport w tamtą stronę i powrót też. Natomiast w czasie

lata stanowił on <sup>le</sup>wilkę nieszczęście. No, to się go zawsze ze sobą, wszędzie tam, gdzie kazali nosić nasze rzeczy. "Sobiraj sia z wieszczami". A po za tym bałem się go gdziekolwiek zostawić. Wobec tego na wszystkie wyprawy brałem go ze sobą, razem z torbą w której prawie nic nie było. Ale taka torba, taka "sumaoczka" to było nieodzowne wyposażenie do którego dawało się znaleźć jakieś korzenie, trawki czy ziemniaki, buraki. Później jesienią, które udało się zdobyć. W tej Gorłowce właściwie również w nie jednym łagrze była. Po pewnym czasie, po jakimś badaniu, po jakiś takich pytaniach, gdzie podałem, że urodziłem się pod Warszawą, co było oczywiście nieprawdą, ale po tym paru miesięcznym pobycie skombinowałem, że podanie miejsca urodzenia na Wileńszczyźnie jest o tyle niebezpieczne, że będzie się uważanym za obywatela Związku Radzieckiego co w sytuacji będących tam Polaków było bardzo niebezpieczne. Ponieważ już zdawałem sobie sprawę, że wojna się skończyła, że gdzieś tam jest Polska. Co prawda nie zdawaliśmy sobie zupełnie sprawy o granicach Polski. To wydawało się jednak bardziej bezpieczne urodzić się na terenach Polski. Dlatego też podałem że Czymierówka, w której się urodziłem, koło Nowogródka leży koło Warszawy. Bo właściwie dlaczego Czymierówka nie miała być koło Warszawy. To miało bardzo wielkie konsekwencje w późniejszym czasie, gdyż po pewnym czasie, już w okolicach chyba lipca, sierpnia wydzielono spośród ludzi będących w tym obozie tak zwanych "innostrannyh" poddanych to znaczy obywateli obcych państw i stworzono właśnie taki łagier dla "innostrannyh" poddanych - dla obywateli obcych. Trzeba przyznać, że to mnie trochę podbudowało, jak już tam trafiłem. Co prawda trafiłem w staszliwe towarzystwo - mieszane. Tam byli nie tylko Polacy, faktycznie pochodzący z centralnej Polski ale również i co sprytniejsi od nas, z Wileńszczyzny. Uważałem to swoje pociągnięcie za sprytne czyli wrodzoną inteligencję, że tam się urodziłem. Ale tam byli również ludzie z Bałkanów, Słowacy, Serbowie cała mie-

szanka południowych Słowian a również Czesi, a również Anglik w batelldresie się tam plątał. Jednym słowem mieszanka, która została zakwalifikowana jako obcy obywatel. W tej sytuacji wydawało mi się, że może powrót jest już blisko. Nie mniej jednak miesiące mijały i nic się nie działo. Co prawda przyszło piękne lato, upalne noce ciepłe, krótkie. Zboża dojrzewały i wtedy grupa chłopców w której najlepiej znałem chłopaka z Łodzi, który nazywał się chyba Alojzy Lisowski, dobrze zbudowany młodzieniec mówił: Wiesz co. Jeżeli decydujesz się to dzisiejszej nocy uciekamy. Zrobiliśmy noże w warsztatach kopalni jako że mieliśmy dostęp do tych warsztatów. Więc tam można było zrobić. Oczywiście po kryjomu różne narzędzia - co było oczywiście niedozwolone. Ja sobie też zrobiłem taki mały nóż do krajania chleba. A ci chłopcy porobili sobie takie noże, bagnety i jako broń właściwie. Mnie zaproponowali, że jeżeli chcę to dzisiejszej nocy uciekamy. Ponieważ zboża są dojrzałe. To my właściwie się w polach przechowamy. Będziemy iść. W dzień będziemy w tych zbożach i dojdziemy. To nie jest tak daleko. Cóż to jest to Zagłębie Donieckie, to przecież ~~dziej~~ Dzikie Pola, to przecież jest blisko. Ja miałem wielki problem czy się na to zdecydować czy nie. Co prawda miałem zaprawę partyzancką, wiedziałem jak to wszystko wygląda. Zaprawa partyzancka przeciągała się dość długo bo w 1944 roku aż do końca. Tak że miałem wyobrażenie również o tym jak potrafią się zachować wojska radzieckie, żołnierze radzieccy. Spotykałem się z nimi na froncie, po froncie. I trzeba przyznać, że biorąc to wszystko pod uwagę, ~~kąkwa~~ również nieprzychylnie nastawienie ludności, która tam, na tamtych terenach była. Także na tej "gosproterce". Młodzież była w tych łagrach a ludzie, którzy byli na owych terenach pod ~~up~~kupacją niemiecką byli właściwie dyskryminowani przez władze radzieckie. Dlatego, że nie miały one do nich w ogóle zaufania. Tak więc przeanalizowałem te wszystkie okoliczności, przez cały dzień miałem ten dylemat, i postanowiłem wobec sytuacji

cji jaka panowała na terenach - według mojego rozeznania - Ukrainy, na terenach Związku Radzieckiego. Odległość od granicy, wszystkie sposoby przejścia. Zdecydowałem że nie pójdę. Tym bardziej, że będąc w tym obozie dla "obcych obywateli", że jest jednak szansa na powrót. Następnego ranka tych chłopców już nie było. Po prostu uciekli. To nie było w owym czasie specjalnie trudne. Jakkolwiek to wszystko było za drutami, jakkolwiek były naokoło obozu strażnice na tak zwanych "wózkach" to znaczy na takich wieżach strażniczych. Druty kolezaste naokoło. Ale technicznie nie było to trudne - uciec. Chłopcy uciekli i prawdę powiedziawszy nigdy o nich więcej nie słyszałem. Nigdy nie spotkałem się z nikim z tej grupy. Nie wiem więc czy dotarli czy nie dotarli. Wydaje mi się to bardzo wątpliwe. Jakkolwiek znam we Wrocławiu jednego pana nie z tej grupy, ale który uciekł z Donbasu. Tak, że widocznie zdarzały się takie wypadki. Nie mniej jednak była to na pewno bardzo trudna sprawa i to spowodowało, że przez długi czas nie zdecydowałem się na ucieczkę. Jako że piękne lata się skończyło, przychodziła jesień. Dni były coraz krótsze, noce coraz dłuższe. Było coraz zimniej i wiedziałem, że moje ubranie jest już w strzępach. Kozuch ledwie się trzymał. Łatałem to jakimiś znajdowanymi brezentami z obawą myślałem co to będzie z następną zimą. Czy ja po prostu ją przetrzymam. Tym bardziej że pomimo jesieni, pomimo tego, że było teoretycznie niby więcej pożywienia bo i ziemniaki i buraki cukrowe, których jednak na surowo jeść się na dało. Ale kiedyś nas nawet puszczone na takie pole, które było zasadzone melonami, kawonami zwanymi w Polsce arbutami, które właściwie były zebrane. Ale na to pole puszczone świnie, które były przed nami i nas do zbierania tych resztek. Świnie bardzo ładnie się żywiły tymi jakimiś pozostałościami, takimi małymi niedoroziniętymi melonami, kawonami. A nam się ~~kaz~~ udało czasami znaleźć taki jakiś niewielki kawon czy melon, tylko, że to była właściwie woda. To jest żadne pożywienie, to jest właściwie smaczne wtedy kiedy człowiek jest najedzony. Ale i to próbowaliśmy jeść, jako

że jadało się wszystko co się znalazło. Oczywiście najbardziej cen-  
ne były ziemniaki. Buraki cukrowe natomiast - próbowałem je na su-  
rowo - nie dawało się jeść. To też wszyscy zaopatrywaliśmy się w  
jakieś puszki po słynnej tuszonce najczęściej, które można było  
znaleźć na terenie kopalni. Każdy mając taką puszkę robił sobie ta-  
kie wiaderko. Następnie parę patyków jakiś znajdował do rozpalenia  
małego ogniska. Dwie cegły lub dwa kamienie dla postawienia takiej  
puszki. Pod tym rozpalało się - ogień i gotowało się wodę do której  
wrzucało się to co się wzięło, co się znalazło. Żeby przynajmniej  
trochę dogotować i żeby można to było zjeść. Takie zaopatrywanie  
się we własnym zakresie było konieczne ponieważ dawane racje chleba  
i pochlopki, tejsupy, były niewystarczające. Tak że ludzie albo  
ogromnie chudli albo właśnie puchli. Ja sam miałem spuchnięte nogi  
to owrzodzenie i wiecznie było się głodnym. Czasami po powrocie z  
roboty stażnicy, tak jakoś ich mało było potem jesienią. Jeden sze-  
dł na przódzie, drugi z tyłu. Z boków właściwie nie było tych z  
bagnetami. Tak, że zdarzało mi się na kopalni wykombinować jakieś  
kawałki desek, zrobić taką wiązkę z drzewa związaną drutem i wraca-  
jąc do łagru. zboczyć gdzieś do jakiegoś domu wpaść na chwilę i po  
prostu coś za handlować. Drzewo było tam ogromnie cenne, bo prze-  
cież w tej części Ukrainy lasów prawie nie było. Tak, że drzewo  
było jedynie na terenie kopalni co dla ludzi tam nie pracujących  
było niedostępne. Więc ta wiązka drewna była bardzo cenną sprawą.  
Przypominam sobie taki jeden moment, kiedy wpadłem do takiego do-  
mu żeby tę wiązkę drzewa na coś zamienić i mówię do gospodyni: No  
chozajka, coś do jedzenia. A ona mówi, że nic nie ma. Zupełnie nic  
nie ma. Ale widzę, że w takim piecyku stoi patelnia a na tej patelni  
smażą się takie placki kukurydziane, które w ich języku nazywają  
się "molaj". Więc mówię a to co. No tylko to mam. Więc ja te placki  
do tej sumki, do tego worka. Zostawiłem tę wiązkę drzewa i już jakieś  
przywienienie, już z mąki kukurydzianej, której zresztą od tego



czasu strasznie nie lubię. Była ona i w tym chlebie ciężkim, te całe malaje były kukurydziane. Że to dobrze przyrządzone, może i jest dobre ale dotąd one mnie przypominają tamte głodne czasy. Żywiło się tym co się miało, jak się mogło coś zdobyć to się zdobywało wszelkimi sposobami. Znam smak różnych traw, różnych korzeni, różnych właściwie takich w ogóle nieprzyrządzalnych rzeczy. Bo to właściwie nie można było przesiedzieć, właściwie można było coś podgotować. To jedyna rzecz jaka była dostępna w takiej puszczy. Ale my byliśmy przyzwyczajeni do takiego sposobu przyrządzania tych dodatkowych potraw.

Z takich poważniejszych rzeczy to to, że co jakiś czas odbywały się jakieś jak gdyby dochodzenia, czy wzywanie nas przez oficerów NKWD, którzy zadawali jakieś pytania. I to powtarzało się coraz częściej. Tak że wraz postępowaniem wydawało mi się, że są jakieś przygotowania, że do czegoś się przygotowujemy. To nas napawało nadzieją, a z drugiej strony był ten ogromny głód i ogromny strach przed tym, żeby następnej zimy przy tym ubraniu tego się nie wytrzyma. Co prawda trzeba powiedzieć, że w miarę tego jak człowiek jest spuchnięty z głodu i staje się bardzo otępiały. Właściwie żadnych takich większych przewidywań nie ma. Rozumowanie jakieś abstrakcyjne w ogóle odpada, a właściwie wszystko sprowadza się do tego, żeby utrzymać się w jakiejś tam higienie to znaczy żeby wszy bardziej nie dokuczały i żeby zaspokoić głód i pragnienie. I właściwie wszystko sprowadzało się do tego, że po pewnym czasie człowiek straszliwie tępieje i właściwie ma bardzo wąski krąg zainteresowań. Codziennie te same problemy i jakieś tylko te bytowe i nic więcej. Właściwie przestaje nawet myśleć o takich jakichś rzeczach perspektywicznych, jakichś takich innych rzeczach. Po prostu wszyscy ludzie robią się tacy strasznie prymitywni. Ja właściwie zawsze się dziwię słysząc różne opowiadania o takich jakichś przemyśleniach, pisaniami jakichś pamiętników, bardzo intelektualnych rozmowach, tworzeniu czegoś.

Wydaje mi się, że to w takich warunkach tych łagrów to było chyba niemożliwe. To musi być coś innego, jakieś przy<sup>na</sup>mniej minimum warunków, żeby takie rzeczy mogły być. Bo naprawdę w takim straszliwym prymitywie łagrów w Donbasie, nie wyobrażałem sobie, żeby ktoś mógł cokolwiek tworzyć, cokolwiek myśleć. Po prostu to się sprowadza do, powied<sup>by</sup>, walki o byt, dosłownie z dnia na dzień.

Zacząłem mówić, że się nas dopytywali o inne sprawy. Przypominam sobie jedno takie badanie, że taki oficer powiedział mnie, że oczywiście pytając się o matkę, o ojca, rok urodzenia. To wszystko zaczynało się mnien więcej tak samo. Potem zaskoczył mnie tym, że ty<sup>bia</sup>łaś brata w wojsku niemieckim. Ja zupełnie zbaraniałem bo po pierwsze w ogóle brata nie miałem, a już w wojsku niemieckim to na pewno nikogo. Oczywiście mu gorąco zaprzeczyłem<sup>m</sup> mówiąc, że w ogóle brata nie mam, bo rodzony nie miałem. Mam tylko siostrę, Ale to mi dało do myślenia, że przecież oni nic nie wiedzą. A przecież ~~przez~~ przez cały czas wydawało się, że to jest kara za jakies niedozwolone rzeczy wobec Związku Radzieckiego, Ja zawsze łączyłem ten cały wywóz, to wszystko z partyzantką. Moją obecnością w partyzantce. Zawsze bałem się, że oni coś wiedzą na ten temat i co oni mnie zarzucają. Bo to się mówiło, że można być sądzonym, że skazują na 10 lat za coś, że łagier jest przejściowy. Co prawda mówili nam zawsze: Kak budiesz haraszo rabotać ujedziesz damoj. Co mnie wtedy nie mówiło. Dopiero jak dowiedziałem się, że <sup>by</sup> takie obozy jak w Oświęcimiu, gdzie było napis<sup>e</sup> "Arbacht macht frei" to wtedy mnie się to połączyło. Skąd ja to znam. To to ja miałem przynajmniej na bramie, tego nie było napisane. Ale jak przez cały czas to była "gosprawierka" to było jak będziesz horoszo rabotał to wienioszsa domoj". To było stałe powiedzenie i kończyło się tym każde przesłuchanie. Z jednej strony była obawa czegoś jeszcze gorszego. Chociaż nie wyobrażam sobie co mogłoby być jeszcze gorsze. A z drugiej strony to taka jakaś nadzieja, że to się musi jakoś skończyć.

Że tu idzie zima i że co tu będzie. Po tym właśnie zarzucie o bra-  
cie w wojsku niemieckim pomyślałem sobie: No tak. Na pewno nic nie  
wiecie. I ~~pr~~znaje się, że to dodało mi jeszcze nadziei, że ten  
powrót będzie możliwie szybki. Nie mniej jednak zaczęły się już  
śnieg<sup>u</sup> padać. <sup>u</sup>Zaczęła się zima. Ziemia zamarzła. Był grudzień i  
nie się nie ruszyło. Aż tu któregoś razu nas z tego obozu wysorto-  
wano i kazano wypełnić ewidencję. Ponieważ miałem już jakieś prześ-  
wity nadziei, że wracamy do domu to tam jakoś się zdekonspirowałem,  
że znam rosyjskie bukwy, bo przecież przez półtora roku uczyłem  
się rosyjskiego. Od roku 1939 do matury w 1941 roku. To było dosłow-  
nie półtora roku nauki języka rosyjskiego, bo przedtem to nie uczy-  
łem się. Ale w ~~każdym~~ razie znałem te bukwy i umiałem pisać. Wobec  
tego jakoś się tam ~~wciągnąłem~~ ~~do~~ ~~wypełniania~~ ~~wypełniania~~ wypełnia takich  
formularzy dla siebie i dla innych. Przy okazji, właśnie wypełniając  
te formularze, kaligrafując bukwami te różne napisy miałem możliwość  
wglądu do papierów swoich i innych. I przyjrzałem się o co tam właś-  
ciwie ludzi oskarżano. A ci więźniowie, którzy kwalifikowali się do  
wyjazdu do Polski, to oczywiście musieli te wszystkie formalności  
prześć. Było dla mnie trochę zadziwiające, że każdemu przy braku  
papieru. Myśmy żadnego papieru ~~nie~~ widzieli, ale tam każdy miał ta-  
ki ogromny formularz, ogromny arkusz papieru złożony. Właściwie to  
były 4 strony takiego dużego formatu, na których wypełniało się te  
wszystkie dane personalne. A dwie strony były rozliniowane na takie  
duże kratki, w których jak się okazało, miało się odbić na jednej  
stronie palce jednej ręki umoczywszy w tuszu, potem drugiej ręki.  
A więc linie papilarne obydwu rąk. Potem palce wskazujące w odpo-  
wiednich kratkach pod spodem obracając je. Potem kciuki też w od-  
powiednich kratkach obracając je tak, że każdy z nas zostawił do-  
kumentację. Nas nie fotografowano. Ale każdy z nas zostawił dokumenta-  
cję odbitych wszystkich palców u rąk. Jeszcze osobno wskazujących  
i kciuków. ~~raz~~ To wszystko było pięknie pokratkowane na dwóch dużych

stronicach się te dwie ręce odbijało. To była właśnie ta dokumentacja przed wyjazdem. ALE ONA NAS JUŻ WCALE NIE martwiła bo już wiedzieliśmy, że coś zaczyna się dziać. Była to nadzieja, że może to już jakiś wyjazd. Przy okazji przeglądania tych papierów i wypełniania tych wszystkich rzeczy oczywiście nie omieszkałem sięgnąć do swoich papierów i zobaczyć o co właściwie chodziło. I ku memu zdziwieniu zobaczyłem w tych papierach, że było napisane oczywiście moje imię, otieczestwo i wszystko inne. A potem napisana uwaga: Był u bielopoleskich i że był uswiązany s nimi. Co znaczyło: że byłem w formacjach partyzanckich a wię i miałem z nimi związek. Myślę sobie: o to i tak wy nic nie wiecie. W ten sposób, że tak powiem, czyściuteńki, już bez żadnych obaw o dalsze konsekwencje czekałem na to, że wrócimy. To tak się i po jakimś czasie stało. W grudniu, kiedy nas załadowano do bydłych wagonów, ale tym razem bardzo luksusowo. Dlatego, że wagon miał dwa poziomy. To znaczy na wysokości człowieka były zbudowane deski. Tak więc jedna część ludzi mogła leżeć. Jeden przy drugim na podłodze wagonu. A na pryzkach stworzonych przez te deski w połowie wagonu druga partia ludzi leżała. To samo było z drugą stroną wagonu. A więc w wagonie, w którym jechałem do Zagłębia Donieckiego w 40 ludzi, bez żadnych pryz, bez tego. To zrobiło się tak, że jechaliśmy luksusowo, na leżąc na słomie. Na te deski były rzucone garście słomy. Tak, że się leżało na słomie i jak śledzie w beczce, jeden przy drugim. W tej pozycji jechaliśmy. Oczywiście jechało się straszliwie długo, stając na różnych stacjach. Z tym, że zwykłym obrzędem stało się, ponieważ <sup>a</sup> ta jazda trwała tygo<sup>du</sup>ami, te postoje były bardzo długie. Takim normalnym trybem tych postoi było to, że wyskakiwaliśmy z tych wagonów. Ta straż nie była już taka groźna. Owszem oni obstawiali ale z daleka. Drzwi nie były zablokowane, tak że na przystanku można było z wagonu wyjść i oczywiście każdy w tej swojej blaszance starał się ugotować wodę. Więc biegło się na stacji do źródła

wody. Co prawda teoretycznie miał być to tak zwany "kipiatok", to znaczy "gorąca woda". Była to podstawa wszystkiego w całym zresztą Związku Radzieckim. ~~TEMA~~ Ten kipiatok jest podstawą wszystkiego. Ale nam w ogóle to chodziło o wodę. Żeby na tych paru znalezionych drewniakach choć tę wodę zagotować i coś tam wrzucić, co się miało. Albo samą gorącą wodę wypić jako uzupełnienie objętościowe tego wszystkiego. Karmili nas w dalszym ciągu bardzo ~~marnie~~. ~~Zmniejsz~~ Zmniejszając porcje jak dla ludzi niepracujących. Więc automatycznie zmniejszono tę porcję chleba do tych 600 gramów wszędzie obowiązujących. Ale nikt nam tego nie ważył. Dawano na wagon określoną ilość. Trzeba było samemu dzielić. No i tak bardzo długo jechaliśmy. Przypominam sobie, że jakkolwiek byłem słaby, spuchnięty w owym czasie, ale należałem chyba do najmocniejszych dlatego, że kiedyś wyrwano mnie na jakiejś stacji do roboty fizycznej. Robota ta polegała na tym, że z wagonów trzeba było wynosić ludzi, którzy podczas tego transportu poumierali, a więc tych którzy nie przeżyli tego powrotu. Trudno mi powiedzieć ile osób zmarło. Ja kilka osób wyniosłem. Nie zawsze byłem do tego brany. Po prostu mnie się tak zdarzyło. Ale <sup>z</sup>przypominam sobie, że właśnie to wynosiłem ~~z~~ się ich z wagonów i kładło na stacji jeden koło drugiego. I tak jak wtedy spojrzałem to kilku leżało. Ale do takiej roboty byłem raz wzięty. I przypominam sobie, że tych których wynosiłem nie byli ciężcy, byli lekki. Mimo wszystko - p o tym noszeniu węgla pewnie człowiek miał jakieś inne odczucia, a to byli ludzie tacy jacyś wysuszeni. Tacy biddni. Lachmaniarze. Zresztą tak jak my wszyscy. Chcę tylko powiedzieć, że w tej powrotnej drodze, w tym niby szczęściu powrotu do kraju, którego nie bardzo znaliśmy. To właśnie ludzie też nie wytrzymywali i marli. W tym wagonie w którym jechałem byli sami Polacy. Trudno mi powiedzieć o całym transporcie, bo transport był dość długi, ale w wagonie w którym byłem to byli Polacy ~~ax~~ i o dziwo mieszane towarzystwo, bo ~~o~~ ile sobie przypominam byłem w przychy

drugiej od ściany. A koło mnie była jakaś dziewczyna, ale ja na to nie zwracałem zupełnie uwagi, ona zresztą też. Byliśmy, że tak powiem takie półtrupcy. I to że była różnica  ~~płci~~ płci to nie robiło żadnej różnicy. Ważnym było to, że wracaliśmy na leżąco., że wagony nie były zadrutowane i że można było na przystankach z tych wagonów wyjść i wziąć sobie wody, zagotować. To już nie było takiego straszego pragnienia, przynajmniej takiego, które tak nas męczyło przy wywozie. A głód był oczywisty i wrzody dokuczające i te wszy i ten głód przez cały czas. Najważniejsze, że śledziłem przez cały czas jak jedziemy. Oczywiście jechało się i w dzień i w nocy. Czasami cały dzień się gdzieś stało, czasami jechało. Dzień z nocą jak zawsze był pomieszany. Nie wiadomo było kiedy ruszamy, kiedy jedziemy. Była obawa aby gdzieś nie zostać, żeby się od tego transportu nie odłączyć. Wieczorami jak się zatrzymał to widać było wzdłuż całego pociągu tylko ogniki tych małych ognisk palonych pod tymi blaszankami, bo okazało się że wszyscy to robili. Jak się wyszło z takiego wagonu wieczorem to widać było całe morze tych ogników. To były takie niecodzienne widoki. Wszyscy sobie coś tam podgotowywali w tych krzakach. Tak wracaliśmy i śledziłem jak. Przez tereny Ukrainy jechało się - nie nie mówiące nazwy. Człowiek żałował że mało zna geografii. Ale potem widzę, że wjechaliśmy do Polski. Jest Równe, Kowy. To już wydawało mi się, że jesteśmy w Polsce. Ale okazuje się, że nie. Nikt nas nie uprzedził, gdzie jest granica z Polską. Był to koniec 1945 roku, grudzień, a więc już widać było, że zostały zarysowane wschodnie granice Polski, ale myśmy o tym zupełnie nie wiedzieli. I dziwiliśmy się tylko, że to właściwie żadnej zmiany nie ma. A jedziemy coraz dalej. Przez Lublin, Radom przejeżdżaliśmy. W każdym razie Radom pamiętam bardzo dobrze. Natomiast żadnego momentu przekroczenia granicy nie było. Nie wiedzieliśmy gdzie jest granica.

Chcę powiedzieć o Radomiu. Bo w Radomiu to było okazało się

że jest Boże Narodzenie. Nawet Wigilia. Jak zatrzymaliśmy się w Radomiu to dostaliśmy po śledzi<sup>u</sup> wtedy poznałem po raz pierwszy skrót: PUR - Państwowy Urząd Repatriacyjny. Właśnie od PUR - u dostaliśmy po śledzi<sup>u</sup> na Wigilię.. No więc to już dla nas było szokujące, że już jesteśmy w Polsce. Ale właściwie gdzie ta granica była wtedy ? gdzieś między Kownem, Równym a Radomiem to naprawdę nie zdawaliśmy sobie sprawy.

- Jechaliście ze Związku Radzieckiego po szerokich torach.

- Tak. Najpierw jechaliśmy szerokimi torami. Ja nie pamiętam tego momentu. To może w Radomiu ~~nas~~ nas przesadzono. Bo z Radomia jechaliśmy dalej do Leszna. I w Lesznie zrobiliśmy bunt. Wydawało nam się, że granica Polski się kończy, że wiozą nas do Niemiec. Wobec tego strasznie wystraszyliśmy się i właściwie zaczęliśmy się buntować i szumieć. Gdzie nas wiozą ?

- A kto był wobec tego waszą ochroną ?

- Jacyś oficerowie

- Polacy ?

- Nie. Sowieci. Przez cały czas Sowici do końca byli Sowici. Bez żadnej zmiany. W tym Lesznie powstał taki szum, bunt i faktycznie z Leszna skręciliśmy na Północ do Poznania. Dopiero w Poznaniu nas oficjalnie wypuszczono. W Poznaniu dostaliśmy takie papiery PUR-u, które mam do tej pory. Taki różowy blankietcik. Znowu zaangażowałem się do pisania tych blankietów i dlatego sobie wypisałem, że przyjechałem ze Związku Radzieckiego. W nawiasie napisałem sobie że z Donbasu i to mam do tej pory jako jedyny dokument, dowód, że stamtąd wróciłem. Bo na tym różowym kartoniku wypisywało się, że przyjechało się jedynie ze Związku Radzieckiego nie podając żadnych miejscowości. Ale chcę jeszcze powiedzieć, że od Radomia zaczęły się również inne niespodzianki. Dlatego, że od PUR-u dostaliśmy bieliznę, parę gaci na troczki wiązanych, jakąś koszulę. To

już dostawaliśmy. To już było coś na te nasze wytarte łachy. Przez cały czas nie było tylko to co się miało z wymiany na coś. To były pierwszes sztuki bielizny, które myśmy otrzymali. Dla nas były one śnieżnobiałe., czyste. Oczywiście w t~~o~~ żeśmy się ubierali. Po za tym już nie pamiętam w której miejscowości mogliśmy trafić do jakiejś łaźni. To było chyba już w Poznaniu. Tak, że jak mnie wypuszczono z tego PUR-u w Poznaniu, z tym zaświadczeniem, które mnie upoważniało do jazdy w dowolnym kierunku w Polsce za darmo. No to czułem się czysty i szczęśliwy. Jakkolwiek ogłupiały i opuchnięty. A po za tym był problem z wypisaniem tego blankietu PUR-owskiego. Tam trzeba było napisać dokąd się jedzie, a ja przecież nie wiedziałem dokąd dokąd jadę. Wróciłem do Polski, której zupełnie nie znałem. Prawdę powiedziawszy to tylko raz przed wojną byłem w Warszawie u k~~o~~nych i byłem nad morzem z matką i z siostrą. Ale po za tym to ja nigdy w Centralnej Polsce, po za tym jedynym wakacyjnym nigdy nie byłem, a wróciłem jako repatriant do Polski. Więc gdzie miałem wpisać że jadę jako ten obywatel urodzony pod Warszawą. Pamiętałem jednak jedyny adres w Warszawie - swojej ciotki, siostry ojca Jadwigi Michalskiej, gdzie byłem przed wojną, gdzie miałem kuzyna z którym korespondowałem, gdzie oni do nas przyjeżdżali na wakacje bardzo często. No i w ogóle ponieważ była to siostra ojca - bliska rodzina, więc tym bardziej doskonale pamiętałem. Pamiętałem nawet to, że kiedyś była ulica Polna 86 a obecnie to Noakowskiego 12. Więc ten dom naprzeciwko Politechniki doskonale pamiętałem i podałem ten adres. Ale słyszałem już w Poznaniu, że Warszawa jest całkowicie zbombardowana i że właściwie są małe szanse na to, żeby kogoś w tej Warszawie znaleźć. To był grudzień 1945 roku. Wobec tego taki łapserdak jak ja, taki oberwaniec w moim więzku zaproponował mi: Wiesz co. Jak ty nie masz dokąd jechać to napisz Studzianki to jest miejscowość skąd mnie wywieźli i skąd ja jestem wywieziony. Napisz tam i pojedziemy razem. Nie masz nikogo w Warszawie więc pojedziemy do tych Studzianek. Więc ja wypisałem



na tym blankiecie PUR-u Studencki. Ten chłopiec którego właściwie pozałem przypadkowo nazywał się Juliusz Aulejtner. Od niego doznałem pierwszej pomocy. On mi pierwszy podał rękę. Razem z nim pojechaliśmy do Warszawy. On mnie /nawiasem mówiąc/ odprowadził na ulicę Noakowskiego, naprzeciwko Politechniki i ze zdziwieniem zobaczyłem że dom ten stoi - Noakowskiego 12, że klatka schodowa jest taka sama jaką znałem, że na IV piętrze jest tabliczka : "Jan Michalski". Zadzwońnię do drzwi. Otworzył je właśnie wuj Jan Michalski i mówi: A pan czego tutaj ? A ja mówię: To wuj mnie nie poznaje. No i wtedy mówi : "Jurek" i wtedy tam wszedłem. Podziękowałem na schodach temu Julkowi Aulejtnerowi i on pojechał w swoją stronę a ja trafiłem od razu do rodziny. Nawiasem mówiąc nazwisko Aulejtner jest obecnie znane. Nie miałem okazji się z nim nigdy spotkać, ale znany profesor Julian Aulejtner i myślę, że to chyba on. Może kiedyś uda mi się z nim skontaktować. Ja w tym mieszkaniu wujostwa Michalskich, które to mieszkanie było muzeum. Później przez wujostwo, oficerowie IBL-owi, jako że mój wuj był, znanym zbieraczem - szczególnie mickiewiczzanów, ale miał ogromny księgoszbiór, który zresztą najcenniejsze rzeczy przeniósł podczas powstania warszawskiego w bezpieczniejsze miejsce i to zginęło. Ale to co zostało to było i tak bardzo dużo. Zbiory rękopisów, starych druków i książek różnych oraz ceramika z ~~xxx~~ całej Polski zbiórana. Tak że to wszystko było w 6-cio pokojowym mieszkanku . Stanowiło to małe muzeum, przekazane później Instytutowi Badań Literackich jako fundacja Jadwigi i Jana Michalskich co można sprawdzić chociażby w Encyklopedii Polskiej Dużej. W każdym razie tam przebrany i wykąpany. Ubrany w ubranie mego kuzyna Jerzego Michalskiego, obecnego profesora w Warszawie historii pracującego w PAN-ie. Dowiedziałem się, że moi rodzice przyjechali znad Wilna do Brzegu nad Odrą. Toteż po spędzeniu jednego dnia w Warszawie, oczywiście po której trochę pochodziłem. Nie

muszę opisywać jakie to było rumowisko. Na mnie największe wrażenie zrobił zrzucony przed kościołem Zbawiciela krzyż z postacią Zbawiciela leżący w gruzach.

- Świętego Krzyża na Krakowskim Przedmieściu ?

- Oczywiście Świętego Krzyża na Krakowskim Przedmieściu, więc to zrobiło na mnie duże wrażenie. No i w ogóle to całe rumowisko. Pomimo że Warszawa tętniła do pewnego stopnia życiem. To znaczy życiem parterowym - można powiedzieć. Wśród gruzów. W bardzo prymitywnych warunkach jechałem do Wrocławia. Oczywiście Wrocław Główny był zburzony, więc na dworzec Nadodrze. A we Wrocławiu, gdzie się przesiadłem. Wrocław też był morzem gruzów. Ale to mnie już nie dziwiło. To całkowicie obce miasto zrodziło we mnie przygnębiające uczucia. Nie tylko poprzez gruzy ale przez ogrom tych budynków, które wydawały mi się olbrzymie, czerwone. Pojechałem do Brzegu, gdzie trafiłem w objęcia rodziców: matki, ojca, siostry a również babci matki ojca, która wtedy jeszcze żyła, i która razem z rodzicami w wagonie bydłowym razem z krową przyjechała przez Wileńszczyznę, Królewiec Poznań aż do Brzegu nad Odrą i tam właśnie ich wszystkich zastałem. W ten właśnie sposób wróciłem do rodziny. I tak się skończyła moja epopeja. Trzeba przyznać, że rodzice byli trochę przerażeni moim stanem. Ja właściwie poza spaniem i jedzeniem, dosłownie niczym się nie interesowałem. Oni byli przerażeni moim otępieniem, zupełną tępotą. Bali się dawać mi dużo do jedzenia. Więc dawali, że tak powiem oględnie, ale mnie to zadowalało w zupełności i tylko spałem. Oczywiście zaprowadzili mnie do lekarza, który stwierdził jakąś olistrofię, jakies coś co mi wytłumaczył jako puchlinę wodną. Ale w każdym razie coraz bardziej dochodziłem do sił. Po miesiącu właściwie doszedłem do siebie i stwierdziłem, że coś trzeba robić. Ostatecznie jestem po maturze, że coś mogę studiować. Słyszałem że we Wrocławiu coś się otwiera. I przyjechałem do Wrocławia szukać jakiś

studiów a myślałem sobie że jestem tępy, otępiały i.t.d.. Z rolnictw~~em~~ miałem tylexp~~erimentu~~ wspólnego że dam sobie radę.. Zapi~~s~~łem się na wydział rolniczy, który jeszcze w tym 1945 roku, może to był luty chyba. To jeszcze zdążyłem zaliczyć I rok. Tak że jestem właściwie stud<sup>e</sup>ntem z I roku ~~stud~~ studiów wrocławskich. To znaczy rok akademicki 1945 - 1946, który w 1945 roku w ogóle się nie odbył. Był jedynie inauguracyjny wykład na Politechnice. Na Uniwersytecie nic nie było. Wszystko mieściło się w, 1946 roku. Pierwszy rok trwał aż do października następnego i od wakacji zaczął się już następny II rok. I tak właśnie skończyłem ten wydział rolniczy wtedy na Uniwersytecie i Politechnice w Wrocławiu. Jako, że była to jedna uczelnia. I tak się skończyła moja epopeja z tej wywózki.

- Czy w jakiejś powojennej konspiracji brał pan udział ?

- O nie zupełnie się nie bawiłem.. Byłem taki ostrożny pod tym względem , wystraszony, że nie. Nawet do tego stopnia, że kiedy w pierwszym roku studenci organizowali pochód trzeciomajowy, oczywiście brałem w nim udział, ale jak widziałem, że gdzieś tam otaczają to dawałem nura. Tak samo jak kiedyś we Wrocławiu była taka demonstracja studencka, na skutek tego że zginął od kuli żołnierz radzieckich uczeń z gimnazjum. I na ulicy Ponia~~t~~owskiego. Wtedy studenci zorganizowali pochód w którym brałem udział. Najodważniejsi doszli aż na podwórze tego gimnazjum na ulicy Ponia~~t~~owskiego. Tam właśnie otoczeni przez wojsko,, wykorzystali kapitana, który ich puścił, ale ja już nie doszedłem. Jak zauważyłem, że w bramach stoją żołnierze i.t.d. dałem nura. Tak, że właściwie nigdy się nie mieszałem co mnie i tak nie uchroniło przed obawami, już jako asystenta, że mnie wyrzucą z uczelni, czego. jakimś dziwnym trafem udało się uniknąć, jako, że moja przeszłość była właściwie niekorzystna dla nowych warunków. Ale miałem to zawsze, że wróciłem ze Związku Radzieckiego, że budowałem Związek Radziecki, że byłem czysty i nigdzie się nie miedzałem, mimo że ~~moi~~ moi koledzy byli aresztowani za pracę w Wilnie i inną działalność konspiracyjną.. Czyli moich kolegów

łączyli z Czarną Trzynastką. Były wielkie aresztowania, ale mnie jakoś to wszystko omijało. Już po wojnie tych konsekwencji nie miałem, aż do internowania w 1981 roku.

- Internowanie już w obozie tak odległym to już jest nasze normalne życie PRL-owskie. Ale wróćmy jeszcze do tamtych czasów, kiedy przestał pan być w łagrach, w nocy.

- Może to pana zdziwi, ale właściwie bardzo szybko. Jak doszedłem do siebie, kiedy już budząc się nie myślałem, że jestem w łagrze, kiedy już przyzwyczaiałem się do normalnego życia. To przestało mi się i to śnić. Że na mnie nie zostawiło to większego wrażenia. Natomiast bardzo długo męczyły mnie różne sytuacje z partyzantki. Widocznie jest to jakaś obsesja. Zwykle te sny dotyczyły jakiejś trudności z bronią, zacinanie się broni, jakiś trudnych sytuacji, jakiś ucieczek, jakiegoś gonienia. I zawsze to występowało. Jacyś Niemcy występowali. Zawsze było w takich sytuacjach dramatycznych z Niemcami. Natomiast te przeżycia łagiernicze to, jakoś gdzieś uciekły z tej świadomości. Raczej nie było tam momentów drastycznych. To była taka śmiertelna codzienność. Taka beznadziejność.

- Z tym, że śmiertelna dosłownie.

- Dosłownie śmiertelna. Nie dla mnie oczywiście, ale dla wielu, wielu ludzi, znajomych. Ale większość z nich to była nieznajomi. To była taka codzienna groza, śmiertelnie nudna. W partyzantce były przeżycia zupełnie innego rodzaju. Okazały się mocniejsze, które profitowały przez długi czas w nocnych zjawach przychodziły.

- Z tego wniosek, że intensywność przeżyć w partyzantce silniej się odbiła aniżeli okropieństwa obozowe.

- Tak sądzę.

- Czy mógłby pan szacunkowo ocenić procent strat w łagrze.

- Nie. To bardzo trudno. Ja byłem w innych łagrach. Były tam różne masy ludzi. W każdym razie tafiałem w różnych łagrach na różne grupy narodowościowe. Co specjalnie drastycznie przypominam sobie

Azerbejdzan, którzy w którymś łagrze stanowili zupełnie odrębną grupę, chyba przestępczą. Dlatego, że stanowili takie bardzo odcięte od innych środowisk środowisko, która miało jakieś swoje porachunki. Jakoś tam znęcali się jeden nad drugim. Były straszliwe wrzaski, jedni drugimi urządzali tortury. Ale to działo się właściwie zupełnie od nas niezależnie. Mimo, że w tym samym łagrze. Tak że trafiłem na bardzo różne grupy ludzi. Wszystkiego dokładnie nie pamiętam, bo to trudno spamiętać. Ale jak pan pyta - to właściwie nie sposób było ocenić jacy ludzie umierali, kim byli ci ludzie. Oni zwykle zostawali wywożeni w nocy. Nawet nie wiem przez kogo. Nigdy nie brałem w tym udziału w łagrach. To wspominam dopiero po przyjeździe do kraju. No to to było widoczne. To widziałem. W tym transportie wagonowym - to był bardzo długi transport. To widziałem po kilka poukładanych na stacjach trupów. Nie sposób było by to ocenić. Przypuszczam, że śmiertelność była duża. Sądząc po tych ludziach, po ich wyczerpaniu, schorowaniu, po tej właśnie atmosferze, jak tego krwawego "ponosu" o którym wspominałem, tej biegunki, która dziesiątkowała ludzi. Przypuszczam, że wiele osób umierało. Ale nie jestem w stanie powiedzieć ani w procentach ani w bezwzględnych ilościach.

- Serdecznie panu dziękuję.